N. 24. WARSZAWA d. 3 (15) Czerwca 1872 ROKU.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. Numer pojedynczy kop. 15.— w Poznaniu prenumerować można w księgarni Leitgebera; w Krakowie za pośrednictwem ustanowionéj agencji, przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj. Przedpłata dla Galicji z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 3 c. 52. w Krakowie złr. 3 c. 26. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza w Warszawie Ulica Żabia N. 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

Treść Numeru. Od Redakcji.—Zwyczaje towarzyskie na Syberji przez Ludwika Niemojowskiego.—Połączona praca kobiet.— Korespondencja ze Lwowa. Kilka słów o przekładach przez Elizę Orzeszkową.— Różne wiadomości. — Albina Studjum Powieściowe z notatek autora ułożył Jan Zacharjasiewicz. — Marzenia Gilberty opowiadanie Amadeusza Acharda.—Fayum, Sinaï i Petra przez Joannę Belejowską.— Przytem dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

OD REDAKCJI.

Tygodnik Mód i Powieści wychodzić będzie i w drugiem półroczu r. b. pod temi samemi warunkami.

Prenumerata pozostaje ta sama, a mianowicie kwartalnie w Warszawie rs: 1 kop. 50.

Na prowincji z opłatą pocztową:

kwartalnie Rs. 2.

półrocznie Rs. 4.

Należytość prenumeracyjną prosimy przysyłać **wcześnie wprost do Redakcji** pod adresem J. K. Gregorowicza, Ulica Żabia N. 956.

Przyjaciel Dzieci

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE dla dzieci od 5 do 14 lat wieku również w półroczu drugiem r. b. wychodzić będzie. Prenumerata nadzwyczaj niska pozostaje ta sama.

Kwartalnie w Warszawie kop. . . . 75.

Na prowincji i w Cesarstwie z opłatą pocztową kwartalnie rs. . . . 1

półrocznie „ . . . 2

Należytość prenumeracyjną prosimy przysyłać pod tym samym adresem, jak na Tygodnik Mód i Powieści.

ZWYCZAJE TOWARZYSKIE

NA SYBERJI

PRZEZ

Ludwika Niemojowskiego.

Moda jak wiadomo jest naśladownictwem. Powstaje niewiadomo zkąd, tworzy się niewiadomo gdzie, żyje niewiadomo jak długo, i w końcu umiera ustępując miejsca zrodzonej w chwili jej skonu nowej fantazji. Źródła jej nikt nie jest w możności wynaleść, bywa ona na ulicy, w buduarze znanej powszechnie piękności, w pracowni poszukiwanego krawca. Czasem źródłem tem staje się jaki skandaliczny wypadek, czasem fakt historyczny, czasami znów głośna pod jakimkolwiek bądź względem osobistość. Gdy moda poczęła swoje efemeryczne istnienie w uprzywilejowanej stolicy, rozbiega się w mgnieniu oka po wszystkich krajach i zakątkach Europy, dyktując wszędzie despotyczne swe prawa. Głównemi punktami jej oparcia się, są wielkie miasta, filijami małe miasteczka: wieś tylko jedna ze swojemi mieszkańcami zajętemi pracą około roli pozostaje na stronie, zachowując dawne zwyczaje, przywyknienia, ubiór, i nie zwracając uwagi na przelotne wymagania tej fantastycznej i kapryśnej władczyni świata.

To co się dzieje na wszystkich punktach kuli ziemskiej, gdzie tylko cywilizacja wnika za pomocą wzajemnych stosunków, sąsiadujących ze sobą narodów, lub ramion kolei żelaznych, tam łączy ze sobą wyobrażenia różnych ludów, i sprowadza do jednej powierzchownej normy ich obyczaje. Moda panująca samowładnie w Europie, dociera wszędzie gdzie tylko żyją ludzie europejskiego pochodzenia. Afryka północna, środkowa Ameryka z powodu zbliżenia swojego ze starym światem, posiadają pod tym względem wszystkie zewnętrzne jego cechy. Na ulicach Algeru, Konstantyny, w salonach Nowego Yorku i Filadelfji, widzieć można to samo co w Paryżu, Wiedniu, Berlinie, bo jeżeli wśród pierwszych przemknie czasami biały burnus araba pustyni, a drugich zaczerni hebanowa twarz murzyna, to są wyłączności miejscowe, niezmieniające bynajmniej ogólnego typu.

Inaczej mają się rzeczy na Syberji: tam niezmierne oddalenie od stolic dyktujących prawa zwyczajowi, nie jest skróconem przez szyny drogi żelaznej, warunki klimatyczne powstają nieraz przeciw najgorętszem chęciom naśladownictwa zachodu, a przecież i w tych podbiegunowych krajach mieszkają damy, nie chcące odstąpić od ogólnej zasady, jakiej podlega płeć piękna wszystkich niemal stron i zakątków kuli ziemskiej.

Moda na Syberji przypływając z zachodu, zawsze spóźniona a częstokroć zmieniona prawie nie do poznania, ma także swoje główne przedstawicielki, kierujące zaaklimatyzowaną na obszarach północy potęgą, i liczne prozelitki, które zapatrując się na wzmiankowane powyżej wyrocznie, przejmują z drugiej już ręki wszelkie nowo pojawiające się zwyczaje. Pierwsze z nich żony lub córki bogatych poszukiwaczy złota, zamożniejszych urzędników biorących rozbrat ze staroświeckiemi obyczajami kupców, zamieszkują zwykle większe miasta jak Tomsk, Tobolsk, Krasnojarsk, Irkuck, prenumerują żurnale petersburgskie lub czasem paryzkie, i przy ich pomocy starają się utrzymać w swych rękach berło smaku, dobrego tonu, jakoteż zewnętrznych oznak przyjętego w Europie ubioru. Drugie należące do rodzin niższej hierarchii czynowników, mieszkają po małych miasteczkach a czasem nawet i wsiach, i jako planety błyszczące światłem zapożyczonem od słońca, jaśnieją renomą przejętą od koryfeuszek.

Zdawać by się mogło, że moda europejska przychodząc na Syberją w opasce pocztowej pod postacią któregokolwiek z żurnalów, dającego mniej lub więcej dokładne wyobrażenie o niej, spóźniwszy się o je-

den miesiąc to jest o tyle ile potrzeba czasu poświęcić na przebycie tysiąco-milowej przestrzeni, przybędzie w krańcowe obszary północy taką, jaką ją utworzył krawiec paryzki lub elegantka bulwarów; tymczasem rzecz ma się zupełnie przeciwnie.

Klimat, zwyczaje miejscowe, pewne odrębne gusta i wyobrażenia a najwięcej może wpływ krawców i szwaczek Syberjiskich, przekształcających wszelkie szczegóły stosownie do swych pojęć, sprawiają że owa brzegów nadsekwańskich królowa, zjawia się nad Irtyszem lub Jenisejem w postaci tyle podobnéj do początkowego pierwotworu, jak podobnym jest człowiek do protoplasty swego podług systematu Darwina, tylko w odwrotnym kierunku.

Wszystko tam jest przesadzone; jeżeli Camargo to już ogromne jak wiatrak, jeżeli kapelusik to już maleńki jak łupina od włoskiego orzecha. Wczasie panowania koków, te ozdoby głowy niewieściej, utworzone samorodnie bez pomocy fryzjerów z różnego rodzaju odpadków stajennych, piętrzyły się niby hełmy rycerzy średniowiecznych lub godła baszów o trzech buńczukach, a kapelusiki spuściwszy się na nos, obrały tam stałe siedlisko. Oprócz tego, zamiłowanie do kolorów jaskrawych przejęte od Tatarów i Mongołów, wyradza razem z przesadą mód przejętych z zachodu odrębną zupełnie cechę, a klimat dorzucając do wspomnionych zawikłań despotyczne swoje wymagania, w postaci rozlicznego rodzaju futer i nieestetycznego kroju szub, dopełnia reszty.

Gdy się to dzieje w pierszorzędnych miastach gdzie koryfeuszki mody otrzymując z kantorów pocztowych wzory, z których wytwarzają następnie podług swego gustu i usposobienia miejscową normę, cóż się dziać musi po małych miasteczkach, wsiach, osadach stanicach, gdzie rozliczne prozelitki wierząc ślepo gubernialnem wyroczniom, przejmują od nich przekształcone nie do poznania formy strojów i ubiorów.

Tam fantazjia zmienia się w szał, nieestetyczne wybryki, w dziwactwo, a przesada w karykaturę.

Pomimo tego nigdzie może na świecie moda nie ma tyle zwolenniczek. Wyjąwszy inorodców trzymających się stale dawnych obyczajów, wszystkie klasy społeczeństwa biją korne pokłony przed owem bożyszczem, któremu podróż po stepach odjęła pierwotne cechy, zrobiwszy zeń jakiś odrębny typ tchnący blizkością koła biegunowego. Nawet włościanki zachowywające we wszystkich krajach swe narodowe stroje, podlegają na Syberji ogólnemu prądowi naśladownictwa, a ujrzawszy jaką miejską elegantkę, starają się o ile mogą o ile umieją przyswoić sobie krój i kształty jej stroju, fasonu i sposobu noszenia ubioru.

Jeżeli jednak kształty damskiej toalety przechodząc różne przeobrażenia i koleje, odbiegają w końcu zupełnie od swych pierwotnych źródeł, cóż dopiero powiedzieć można o towarzyskiej formie, która także stanowi bezpośrednią część mody, gdyż wypływa z powszechnie przyjętej i przez ogół uznanej formy. Wśród tak zwanych arystokratycznych salonów Syberji tańczą np. wszystkie europejskie tańce, zacząwszy od polki tremblante aż do lansiera, i wykonywają je nawet z pewnem odcieniem przypominającym Mabille paryzki, a jednakże jeżeli europejski przybysz wejdzie do tutejszego zebrania, uderzony zostanie zaraz na wstępie mnóstwem miejscowych obyczajów, nie mających najmniejszego związku z tem, co przywykł widzieć z tamtej strony Uralu. Panny zaproszone do tańca odmawiają bez ceremonij jednym, wybierając stosownie do swego widzimisię drugich tancerzy, a odprawiony zwolennik terpsychory, widząc jak szczęśliwszy współzawodnik zabiera zaangażowaną przez niego poprzednio tancerkę, nie czuje się bynajmniej obrażonym, i idzie dalej próbować szczęścia. Pokłon damski zastąpiony bywa kilkakrotnem kiwnięciem głowy, co przy sztywnem wyprostowaniu i nieruchomości reszty ciała, nadaje salonowem pięknościom pozór porcelanowych chińskich figurek, zdobiących europejskie buduary. Przywitanie angielskie przez podanie ręki stało się prawdziwem nadużyciem: przybyły w towarzystwo mężczyzna podaje rękę nie tylko znajomym, ale wszystkim bez żadnej różnicy pierwszy raz widzianym osobistościom, obchodząc z kolei całe grono i nie pomijając nikogo. W każdem zgromadzeniu znajdują się oddzielne salony dla kobiet i mężczyzn: linija demarkacjina wschodnim utworzona obyczajem, a oddzielająca dwie płcie rodzaju ludzkiego na dwa obozy, jest wprawdzie na pierwszy rzut oka nieznaczna i zaledwie postrzeżoną, drzwi nawet obydwóch pokoi nie bywają nigdy zamknięte, ale w gruncie rzeczy granica jaka dzieli płeć męzką od żeńskiej, jeżeli nie staje się niepodobną to przynajmniej trudną do przebycia. Odwieczny obyczaj niby niepokonany Cerber stoi tam ciągle na straży, przeszkadzając stanowczemu zlaniu się w przyjacielskie grono wszystkich uczestników towarzystwa. Konwencjonalne frazesa w danych razach używane, są zawsze jedne i te same, tak że naprzód wiedzieć można co się usłyszy, jakie zapytanie się odbierze, i jaką odpowiedź otrzyma. Dziękowanie z kolei gospodarzowi i gospodyni domu każdego z gości po śniadaniu, obiedzie lub kolacji za poczęstunek, użycie przy powtórnem zachęcaniu do przyjęcia posiłku w miejsce prostego wymówienia się takich np: wyrażeń: „nie chcę !... „najadłem się! i. t. p. razi na wstępie każdego nieprzywykłego do podobnych form towarzyskich europejczyka.

(d. c. n.)

Połączona praca kobiet.

Przed kilku tygodniami podaliśmy wiadomość, o zamiarze zawiązania spółki, mającej na celu rozszerzenie zakresu pracy kobiecéj, ułatwienie im przez nią środków zarobku i zabezpieczenie na przyszłość utrzymania. Dziś z prawdziwą radością donosimy, że zamiar ten wszedł w wykonanie, i w dniu 25 Maja r. b. przed Rejentem St. Rościszewskim, zawarty został akt Spółki pod nazwą: *Połączona praca kobiet*.

Należą do niéj przeważnie kobiety, a powody powstania nowej tej instytucji, akt nadawczy w następujący sposób objaśnia.

Ponieważ w ogólności praca kobiet jest mało produkcyjną, a nawet trudną do znalezienia w skutek ograniczonéj u nas działalności kobiecéj, zredukowanéj jedynie prawie do igły i nauczycielstwa, i gdy praca ta, z przyczyny wielkiéj ilości potrzebujących, najczęściéj wyzyskiwaną jest przez niesumiennych spekulantów, przez co nie zapewniając bytu pracującym nie jest w stanie powstrzymać ich od upadku i występków od nędzy nieodłącznych, i gdy nakoniec wielo wiekowe doświadczenie przekonało, iż zwyczajna dobroczynność i jałmużna zniedołężniając tylko potrzebujących, złego nie usuwa, lecz raczéj je pomnaża“ przeto osoby wymienione w kontrakcie postanowiły zawiązać Spółkę pod nazwą „*Połączona Praca Kobiet*,“ która nie będąc instytucją dobroczynną lecz przemysłowo-handlową, zakreśliła sobie następujące cele:

1) Otworzyć kobietom obszerniejsze pole do pracy, przez dostarczanie i ułatwianie im takowéj;

2) Rozszerzyć zakres ich działalności, przez użycie ich do rękodzieł dotąd przez kobiety niepraktykowanych;

3) Ułatwić sprzedaż wyrobów kobiecych przez przyjmowanie takowych w komis i zapewnienie sobie stosunków handlowych, po za granicami kraju dla takowego zbytu, i

4) Zapewnić stałym pracownicom rodzaj moralnéj i materjalnéj opieki, przez stopniowe dopuszczanie ich do udziału w spółce.

Spółka troszcząc się o zdrowie swych pracownic, utrzymuje lekarza dla bezpłatnéj kuracji w razie choroby, oraz obmyśla środki by jak najwięcéj pracownic zająć i uczynić swemi *Uczestniczkami*.

Każda wyrobnica *stała* przedsiębierstwa, skoro będzie miała złożone w kassie Spółki kwotę rs. 15 staje się uczestniczką Spółki, i z tego tytułu korzysta ze wszystkich jéj zysków w stosunku do swego udziału. Z udziałów takich oraz innych źródeł w kontrakcie wymienionych, formuje się kapitał tak zwany *oszczędności*, który wzrastając w miarę rozwoju samej Spółki, stanowić będzie wyłączną własność jéj Uczestniczek. Kapitał ten corocznie powiększa się zyskami osiągniętemi, a po każdych 5 latach rozdziela się pomiędzy uczestniczki, w stosunku do udziału. O ile więc która z nich zwiększy swój udział będący w Spółce, o tyle też korzystać będzie przy rozdziale *kapitału oszczędności*.

Spółkę składa na teraz osób siedem, pięć z nich tak zwanych w kontrakcie Spólników Założycieli t. j. takich którzy złożyli po rs. 500, dwie zaś Spólniczki Udziałowe t. j. takie, które wniosły kwotę mniejszą od wymienionéj summy.

Kapitał w ten sposób powstały, jest zbyt jeszcze szczupłym dla przeprowadzenia zamierzonych celów, lecz ponieważ Spółka rozpocznie swą czynność dopiero od 10 lipca r. b., a liczby członków swych wcale nie ograniczyła, wypada więc mieć nadzieję, że do pierwszéj i jedynéj dotąd u nas kobiecéj Spółki, dążącéj do społecznego dobra oraz dającéj prawie niezawodną gwarancję znakomitych zysków od włożonego kapitału, będą licznie i ochotnie przystępować tutejsze kobiety, a tym sposobem kapitał Spółki się zwiększy i umożliwi dalszy rozwój.

Stosownie do sił swoich, Spółka o ile wiemy, ma nateraz zamiar otworzyć kantor komisowy dla przyjmowania zamówień na różnorodne roboty, które pod swą gwarancją znanym sobie pracownicom rozdawać będzie, oraz gotowych robót na sprzedaż w bazarze Spółki. Obok kantoru otworzy pracownię szycia bielizny. Z biegiem czasu zakres działalności znacznie rozszerzonym zostanie.

Wedle brzmienia kontraktu, spólnicy wybiorą z pomiędzy siebie kierowników Spółki, każdy zaś ze Spólników obowiązany kolejno odbywać inspekcję całego przedsiębierstwa. Oprócz tego mają być dyżurne w kantorze dla załatwiania bieżących interesów, przy pomocy osoby płatnéj Zarządzającéj prasownią. Tym sposobem każdy będzie sam bezpośrednio czuwał nad swojem dobrem, a mając prawo kontrolowania ksiąg i interesów Spółki w każdéj chwili, nie dopuści uszczuplenia kapitału, którego cząstkę sam posiada.

Korespondencja ze Lwowa.

Śmierć przerwała znowu pasmo życia, ktore było jednym, wspaniałym szeregiem nieposzlitych zasług we wszystkich kierunkach społecznego życia, którego hasłem jedynem było poświęcenie bez granic i niestrudzona praca dla dobra publicznego. Dnia 24 maja umarł w Krakowie po nader ciężkich cierpieniach, prawie jeszcze w sile wieku książę Jerzy Lubomirski, ordynat na Przeworsku i dziedzicz-

ny kurator zakładu Ossolińskich we Lwowie. Głębokie wrażenie jakie wypadek ten w całym kraju wywołał, powszechny a serdeczny żal którego wymowne objawy z każdym dniem się mnożą, są może niedostateczną miarą straty, którą kraj poniósł w skutek śmierci księcia Jerzego Lubomirskiego.

Zmarły był niezawodnie zjawiskiem fenomenalnem zwłaszcza wśród galicyjskiego społeczeństwa. Świetna tradycja rodowa i wynikające ztąd znamienite stanowisko w społeczeństwie, blask zaszczytów i fortuna prawdziwie książęca, były tylko środkami, któremi posługiwały się w nieustannéj pracy dla dobra publicznego, energiczny i niepospolity a przytem skromny duch zmarłego, jego żelazna pełna hartu i zaparcia się wola, a wreszcie szlachetne i wielkie serce. Czy śmierć takiego człowieka nie byłaby wszędzie uważaną za klęskę niepowetowaną? O ileż większą jest strata jego dla Galicji, gdzie jaki taki tytulik nawet pozbawiony tradycji i połączony z zaszarganą trochę fortuną, bywa zazwyczaj patentem na uprzywilejowaną obojętność i lenistwo, gdzie brak ludzi skorych do poświęceń cichych i zasług nieobliczonych na efekt chwilowy jest tak wielki, a liczba potrzeb i zadań niespełnionych, którym mierne siły podołać nie mogą, tak wygórowaną!

Na ludzi, którzy znali zblizka zmarłego, którzy śledzić mogli za jego wielkiemi zasługami, ukrywanemi starannie dla przesadnéj skromności, a przytem poznali szlachetne pobudki i wzniosłe hasła tego pięknego żywota, spada wdzięczne chociaż bardzo trudne zadanie skreślenia wiernego obrazu człowieka, który stał jak kolos wśród otaczającego go mrowiska ludzi. Podajemy tu tylko kilka rysów charakteryzujących stanowisko jakie śp. książe Jerzy Lubomirski wśród naszego społeczeństwa zajmował.

Imię zmarłego splotło się silnym węzłem z dziejami dwóch najznakomitszych zakładów galicyjskich poświęconych wyłącznie nauce:—z zakładem Ossolińskich we Lwowie, i nowo utworzoną akademią nauk i umiejętności w Krakowie.

W zakładzie Ossolińskich był on dziedzicznym kuratorem, w myśl umowy zawartéj pomiędzy jego ojcem a fundatorem zakładu. Ale kuratorja spoczywała mimo jasnéj woli fundatora lat kilkanaście w rękach, hr. Maurycego Dzieduszyckiego, którego powołało na to stanowisko namiestnictwo po usunięciu prawowitego kuratora. Fakt ten był wynikiem jednéj z tak licznych w Austrji zmian systemu, które zawsze odbijały się w instytucjach nie mających żadnego związku z polityką. Dopiero przed kilku laty ustał stan anormalny i rząd zwrócił księciu Jerzemu kuratorję. Objąwszy kierownictwo tak znakomitéj instytucji naukowéj, nieboszczyk wziął się do pracy z takim pośpiechem, jak gdyby pragnął powetować długą, mimowolną nieobecność swoją. Dwie piękne pobudki kierowały czynnościami kuratora: wola zacnego ojca który znakomicie przyczynił się do utworzenia i wzrost zakładu, a daléj cel wytknięty zakładowi przez szlachetnego fundatora.

Z czynności kilkuletniéj kuratora zdawaliśmy zawsze dokładnie sprawę, więc obecnie poprzestajemy tylko na przedstawieniu ostatecznego świetnego rezultatu.

Książe Lubomirski obejmując kuratorję wiedział, że Zakład Ossolińskich jako instytucja naukowa ogromnéj wartości, zostawać powinien w ciągłych stosunkach i żywéj styczności z podobnemi zakładami zagranicą. Celu tego dopiął przez utworzenie sekretarjatu naukowego głównie téj czynności poświęconego. A jak trafnym szczęśliwym i korzystnym był ten pomysł, okazał prawdziwie zdumiewający rezultat. W krótkim czasie mało znany za granicą zakład Ossolińskich zajął w rzędzie instytucji naukowych europejskich odpowiednie stanowisko, i wzbogacił znakomicie swoje zbiory naukowemi publikacjami zagranicy, odwzajemniając się za to swojemi wydawnictwami które niemały zaszczyt mu przyniosły w całym świecie naukowym. Kurator nie zaniedbał korzystać ze swoich wpływów osobistych, ażeby zapewnić bibliotece Ossolińskich życzliwość i poparcie z różnych stron. Tym to osobistym wpływom zawdzięcza biblioteka znakomite dary otrzymane od królowéj Wielkiéj Brytanii, z biblioteki cesarskiéj w Wiedniu, i od ministerstwa francuskiego i belgijskiego. Z jaką energią, wytężonym pośpiechem pracował książe dla zakładu w tym kierunku, jak niezmordowanie i zręcznie wyzyskiwał każdą nadarzającą się sposobność, o tem dużo mogliby powiedzieć ci, którzy zbliska się przypatrywali jego czynnościom. Działał formalnie bez wytchnienia jak gdyby przewidywał bliski skon, który niestety zbyt wcześnie nastąpił.

Przewożąc słynną i znakomitą zbrojownię Przeworską do zakładu Ossolińskich, spełnił tem ostatnią wolę swego ojca i stał się niejako założycielem pięknego muzeum, a wydając własnym bardzo znacznym kosztem pod firmą zakładu jeden z najstarszych pomników piśmiennictwa polskiego: Biblię królowéj Zofii, podniósł znakomicie naukowe znaczenie zakładu. Nie pierwsza to była i nie ostatnia ofiara z własnego majątku wyłożona na rzecz nauki. O szczodrości prawdziwie książęcéj zmarłego, dużo mógłby podać szczegółów prezes krakowskiego towarzystwa naukowego, któremu pomógł dokończyć gmachu, i uniwersytet Jagielloński w którym zachęcał młodzież do samodzielnéj naukowéj pracy, rozpisywaniem konkursu o nagrodę pieniężną za najlepszą pracę na dany temat.

Kraków tak samo jak Lwów nie zapomną nigdy o księciu Jerzym Lubomirskim. Akademia nauk w Krakowie będzie niejako pomnikiem zmarłego, który znalazł w cesarzu austryackim życzliwego protektora swego pomysłu, a w byłym prezydencie gabinetu hr. Alfredzie Potockim, nader skorego wykonawcę woli monarchy, taką korzyść moralną krajowi przynoszącéj. Gdy pomysł stał się faktem stwierdzonym cesarskiem pismem odręcznem, książe Jerzy podwoił swoje zabiegi i doczekał się wreszcie na łożu śmiertelnem aktu, który wprowadził w życie najwyższą w kraju instytucję naukową, wyboru pierwszych dwunastu akademików. Przy téj sposobności zamanifestowała się najokazalej jego rzadka skromność. Gdy członkowie towarzystwa naukowego przed wyborami oświadczyli księciu, że wybór jego osoby wypadnie jednogłośnie, odmówił wprost przyjęcia mandatu i od tego zamiaru w żaden sposób odwieść się nie dał. A przecież nikt nie miał większego prawa do zajęcia krzesła w Akademii!

Prywatna dobroczynność Księcia Jerzego Lubomirskiego była tak niepospolicie pięknem zjawiskiem, że z równem mu trudno zaprawdę spotkać się w dzisiejszych czasach, podnoszących z bezwstydnym cynizmem wyrafinowany egoizm do rzędu kardynalnych zasad i prawideł życia! Krótko i bez przesady scharakteryzować można zmarłego: Ograniczał swoje potrzeby do najskromniejszych rozmiarów, a wszędzie gdzie spostrzegł niedostatek spieszył z pomocą. Ubodzy, którzy wstydzą się wyciągnąć rękę po jałmużnę stracili w nim dobroczyńcę i opiekuna rzadkiéj słodyczy i hojności!

(d. n.)

KILKA SŁÓW O PRZEKŁADACH

Z POWODU ARTYKUŁU

PANA STANISŁAWA NOWIŃSKIEGO

przez

Elizę Orzeszkową.

(Dalszy ciąg).

Daleko łatwiéj popaść w inną ostateczność to jest odrzucać to, co rozumne i piękne z obawy, aby nie znalazło się weń cokolwiek złego i brzydkiego. Jabym sądziła, że robotę oddzielania kąkolu od pszenicy należy pozostawić ogółowi, ale nie ukrywać przed nim nic co tylko mieści w sobie choćby zarody zbawiennéj nauki, choćby jeden promień prawdziwéj piękności. My zresztą jesteśmy pod tym względem dziwnie niekonsekwentnymi. Tłomaczymy gromadnie powieści Feval'a, Gabori'ego i innych tym podobnych spekulantów pióra, a lękamy się jak ognia tłomaczeń Zanda lub młodszego Dumasa z obawy, aby te nie wpłynęły źle na nasze obyczaje. Może się mylę, ale zdaje mi się że jest to błąd olbrzymi. Najgorszym i najszkodliwszym czynnikiem w społeczeństwie, jest niesumienność i kłamstwo, a płody literatury *echevelée* powstają z niesumienności i składają się z kłamstw.

Takie geniusze jak pani Zand, takie gorące miłością dla nieszczęśliwych jakimibykolwiek oni byli, przejęte serce jak Dumasa młodszego, zbłądzić mogą niekiedy w wyobrażeniach swych uniesieni zapałem lub szlachetnym bólem, ale piszą zawsze z dłonią na sumieniu, ze szczerem pragnieniem wykrycia i ogłoszenia prawdy, z zupełną czystą wiarą w to co ogłaszają. Mogą oni błądzić, mogą się mylić, ale z natury swéj muszą koniecznie natrafiać nieraz na wielkie prawdy, stwarzać prawdziwe i wielkie piękności, bo wzrok ich dość silny aby dosięgnąć ideału, serca dość szlachetne aby go ukochać, głosy dość śmiałe aby o nim opowiadać ludziom. Co do mnie, wbrew licznym zdaniom, wolałabym widzieć w ręku młodéj osoby wszystkie dzieła Zanda, jak jedną olbrzymią baję Fevala albo jedno z kału i błota ulepione romansidło Gabori'ego. To samo prawie dzieje się z tłomaczeniami powieści angielskich. Tam wprawdzie literatury echevelée nie ma prawie, ale za to powódź utworów bladych i ckliwych, zafarbowanych blado różową barwą sentymentalizmu i oklepanych formułek powszedniéj moralności. Takie utwory znajdują się u nas w przekładach w znacznéj ilości, ale porządnego tłomaczenia Dickensa lub Tackeraya tych arcymistrzów powieściarskiéj sztuki, tych wielkich artystów i trzeźwych a zarazem głębokich myślicieli, ze świecą trzeba szukać. Maż to oznaczać, że takiemi są literackie skłonności naszego społeczeństwa? Że lubując się w tem co błahe lub brudne, nie znajduje ono upodobania w rozumnem i pięknem? Tak nie jest, społeczeństwo bierze co mu dają rzekomi opiekunowie jego i przewodnicy, ale sarka lub poziewa. Zaręczyć można, że mała u nas liczba osób kocha się w powieściach Fevala a daleko większą przyjemność i pożytek znajduje w czytaniu Dickensa; tego zaś ostatniego dowodem może być fakt, iż kilka powieści przełożonych tego autora przed kilkunastu laty, nakładem zdaje mi się Natansona, pomimo nieprawdopodobnéj prawie niedołężności tłomaczenia i dość wysokiéj ceny, zostały tak rozkupione, że dziś niepodobna w kraju naszym zdobyć ani jednego już z wydawnictwa tego egzemplarza. Że naród nasz czytuje przekłady rzeczy złych lub

miernych a z trudnością oznajamia się z pracami szlachetnemi, pięknemi, wina to nie jego smaku i usposobień, ale tych którzy w imię źle pojętéj zachowawczości lub dla własnego interesu, trzymają go w kurateli. Gdyby kuratela ta nie istniała i gdyby ci którzy ją wykonywają, nie wyłączali z dziedziny publicznéj dzieł talentów wzniosłych, szczerych, żywotnych dla tego, że osnowy dzieł tych wzbudzają w nich obawy lub wstręty płynące nie raz z nieudolności zrozumienia rzeczy, natenczas publiczność mogłaby czynić wybór i wybrałaby niezawodnie to, co najlepiéj przypadłoby do naturalnych jéj dążności i upodobań. Być może, iż mały pochop ogółu naszego do czytania na który tak gorzko uskarżają się panowie wydawcy, przyczynę swą ma w téj właśnie źle zrozumianéj i mocno w czystości intencji podejrzanéj troskliwości, o nienaruszalną niewinność oczu i uszu publiczności, które zasłania przed ogółem mnóstwo rzeczy pięknych i doniosłych dla tego, aby pewna cząstka ludzi posiadająca słaby umysł wzroku i słuchu, nieoślepła i nie ogłuchła.

Co do mnie wybierając z dwojga złego, wolałabym, aby naród mój posiadał przekłady dzieł belletrystycznych obcych dobrych i złych, wzniosłych i występnych, niżeli aby nie posiadł wcale ani jednych ani drugich. W pierwszym wypadku szkody wyrządzone wpływami złemi, umniejszane i równoważone być mogą dobremi, lecz któż i cóż wynagrodzić może człowiekowi postradaną przezeń chwilę wzniosłego zapału, nieujrzany obraz prawdziwéj piękności, nieusłyszane słowo szlachetne, niespostrzeżoną rozumną wskazówkę? Takie straty nie wynagradzają się niczem, i powtarzając się często i długo wprawiają społeczność w zastój myślenia i, martwotę czucia, które są tysiąc razy smutniejszym objawem społecznego stanu, niż ruch dokonywający się choćby najbardziéj w ujemnym kierunku. Ruch bowiem wszelki świadczy o życiu, przypuszcza więc kształcenie się i przekształcanie, postęp i poprawę, z zastoju i martwoty nie powstaje nic—prócz pleśni, spruchnienia, nakoniec śmierci.

Przechodząc od belletrystyki, do innych dwóch działów zagranicznego piśmiennictwa, nie jest zbytecznem uczynienie uwagi, że jak we wszystkiem co posługuje człowiekowi gwoli zadowoleniu fizycznych lub moralnych potrzeb jego, tak i w tym wypadku są rzeczy poprostu użyteczne i inne które koniecznemi, niezbędnemi nazwać można. Przekłady dzieł obcych belletrystycznych, jeśliby nie były ścieśniane z jednéj strony spekulacją pióra, z innéj zbyt troskliwą i arbitralną kuratelą, mogłyby niezawodnie przynieść ogółowi znaczne pożytki. Koniecznemi wszakże ani niezbędnemi nie są naprzód dla tego, że własna nasza literatura nadobna, znajduje się w stopniu dość szerokiego rozwoju i w posiadaniu sporéj liczby prawdziwych, szczerych i silnych talentów. Następnie jeszcze dla tego, że przy rozpostrzenieniu pomiędzy ogółem słabych choćby znajomości językowych, dzieła beletrystyczne choćby nieprzełożone, dostępnemi są dla znacznéj części społeczeństwa i żadna już, choćby najtroskliwsza i najsurowsza ręka, całkowicie zamknąć przed niemi nie może wrót zakazanego ogrodu. Inaczéj się ma z piśmiennictwem tak zwanem poważnem (mówią *tak zwanem*, bo nie podzielam zdań dowodzących, że każde z dzieł belletrystycznych z natury swéj jest niepoważne). Któż określił stopień w jakim prawda przewyższa powagą piękną, które samo nie byłoby takiem, gdyby nie było prawdą?

Z piśmiennictwem tedy tak zwanem poważnem ma się wcale inaczéj. Dzielenie się niem jest dla narodów nie już pożytecznem ale koniecznem, dla nas zaś uczestnictwo w tem dzieleniu się tem konieczniejszem, im mniejsze plony tego rodzaju wydaje własny grunt nasz, im głębszéj i powszechniejszéj znajomości obcych języków trzeba na to, aby módz czytać i rozumieć dzieła o umiejętnościach ścisłych i naukach społecznych w tych obcych pisane językach. Co do umiejętności ścisłych, zbytecznem wspominać o konieczności przekładów dzieł ściśle naukowych przeznaczonych do użytku uczonych, albo ludzi sposobiących się do zostania takimi. Konieczności téj nikt nie przeczy a ten ktoby jéj przeczył, skalą umysłu swego należałby chyba do owego wieku czarnéj pamięci, w którym dla utrzymania powagi Jozuego spalono na stosie Galileusza. Co innego się dzieje z dziełami popularnemi, przeznaczonemi do oznajamiania z prawdami i odkryciami nauki całych mass czytelników, tu bowiem występuje już kwestja i żelaznemi szczypcami dzwoni na alarm kuratela.

Gdyby ludzie piszący te popularne dzieła trudnili się tylko przedstawianiem nagich faktów, nie byłoby może kwestji ani alarmu, ale wiek nasz nie zadawalnia się malowaniem pojedynczych liter natury, wiąże on je w łańcuch przyczyn i następstw, z czego wypływa badanie, wnioskowanie, słowem filozofia natury. Dawniéj zjawiska odkryte stawały osobno niczego nie dowodząc prócz samych siebie, dziś każde z nich odpowiedzieć musi na szereg pytań: zkąd się tu wziąłeś, co było przed tobą, co kryje się za tobą, co jest w tobie, co będzie po tobie? Dążności téj badania i wnioskowania nic powstrzymać nie zdoła, przebudziło się ona w duchu ludzkim jak z długiego snu księżniczka zaklęta, i wiedzie za sobą kochanka swego w progi pałaców podmorskich, w głębokości podziemnych cmentarzy rzuca go w wir atomów, sadza na skrzydłach wichrów, podnosi ku gwiazdom i każe zapuszczać spojrzenie po za wieki wieków, po za przestrzenie przestrzeni, aż po nad stropy niebios. Każde więc dzieło ducha ludzkiego nacechowane jest tą nieodłączną dziś odeń dążnością, i ona to przeraża umysły trwożliwe, niechętnie spoglądające na znikanie przeszłości, gdyż do zmierzenia się z przyszłością odwagi im nie staje. A jednak żadne usiłowania nic tu pomódz nie mogą, przeszłość mija, przyszłość nadchodzi a jeśli chcemy zapanować nad tym przemożnym prądem i ująć nad nim wodze, powinniśmy go poznać dokładnie.

Odwracanie oczów ku niczemu nie służy; wzrok nasz spogląda w jedną stronę, a w innéj świat czyni co musi lub co mu się podoba, i z czasem tak nas okrąży swą robotą, że nie widzieć jéj, będzie nam niepodobieństwem, ujrzawszy ją zaś zapóźno nie ujrzymy jéj dobrze i nie będziemy wiedzieli jak sobie śród niéj poradzić. Daleko lepiéj jest, bezpieczniéj i zbawienniéj, patrzeć na wszystko otwartemi oczami i starać się o zgromadzenie wkoło siebie takiéj ilości światła, aby oświecony nią każdy przedmiot przedstawiał się wyraźnie, jasno, w rzeczywistych kształtach swych i barwach.

Popularyzatorowie nauki są apostołami światła. Szczytne to i do najwyższego stopnia pożyteczne zadanie, odkrywać przed massami ludności to co dostędnem było dotąd małéj tylko garści wybrańców. Lupnem było dotąd małéj tylko garści wybrańców. Ludzi którzyby pełnili to zadanie, więcéj niż wielu innych potrzebuje kraj, w którym wychowanie szkolne mężczyzn niezmiernie wątpliwéj jest wartości a kobiet prawie żadne, w którym uniwersytetów i wszelkich wyższych naukowych zakładów z latarnią Dyogenesową szukać potrzeba, w którym w najpiękniejsze jeszcze prosperuje i kwitnie zaród znachorów i czarownic, a nawet klassy względnie oświecone przechowują przesądów i szkodliwych zwyczajów więcéj niżby ich była potrzeba, dla całkowitego zniweczenia zdrowia i spokojności wielu ludzi. Brak wiedzy o wszystkiem co najbliższy ma związek z fizyczną naturą człowieka, jest u nas, na prowincjach mianowicie, prawdziwie przerażający.

(d. c. n.)

Różne wiadomości.

* *Wychowanie publiczne.* — Dnia 30 kwietnia, w mieście Sumach (w gubernji charkowskiéj) poświęcono plac i założono kamień węgielny pod gmach, w którym ma mieścić się progimnazjum sumskie. Przy téj sposobności odprawione było nabożeństwo uroczyste, w obecności członków urzędu ziemiańskiego, reprezentantów ze strony ziemiaństwa, oraz urzędników wojskowych i cywilnych, nauczycieli i uczniów progimnazjum i wśród licznego zgromadzenia ludu. Wznosząc gmach ogromny i piękny dla progimnazjum, ziemiaństwo powiatu sumskiego ma na widoku zreorganizować je stopniowo na gimnazjum kompletne o ośmiu klasach.

* *Wykłady dla włościan.* — S. Petersb. Wied. donoszą, że pierwsze wykłady publiczne dla włościan otwarte zostały przez p. Raczkowa we wsi Wietoszkinie, w gubernji niżegorodzkiéj, w powiecie sergaczskim, na żądanie pp. Paszkowych, właścicieli dobr wietoszkińskich, którzy są założycielami dwóch szkół i jednéj ochrony w tychże dobrach. Program wykładów, złożony przez prelegenta radzie szkolnéj, został zatwierdzony z niektóremi zmianami. Podług tego programu, wykłady zaczynają się od ewangelji w języku ruskim. Historja ruska, życiorysy znakomitych osób historycznych, podróże, opisy rozmaitych okolic, niektóre utwory Puszkina, Żukowskiego, Lermontowa, Karamzina, Kostomarowa, Pietruszewskiego i innych,—taka jest treść tych wykładów. Ze szczególnym interesem słuchano opowiadań o tworzeniu się języka cerkiewnego, o zaprowadzeniu w Rosji chrześcijaństwa, oraz wykładów z kosmografji. Historja ruska wykładana jest w porządku konsenkwentnym, lecz niezależnie od tego czytane są życiorysy znakomitych osób historycznych.

— Ktoby miał do zbycia dodatki **Tygodnika Mód i Powieści** z kwartału 4-go roku zeszłego, obejmujące początek powieści Kraszewskiego pod tyt. **Wielki Nieznajomy**, raczy się zgłosić do Redakcji Tygodnika Mód przy ulicy Żabiéj Nr. 6 nowy.

KORESPONDENCJA.

Pani Julji K. W Przyjacielu Dzieci pomieszczamy i komedyjki i do numeru 22 w roku bieżącym dołączyliśmy dodatek arkuszowy obejmujący zajmującą całą komedyję, złożoną z prologu i dwóch aktów. Dodatku jednak tego oddzielnie nie przedajemy, tylko w komplecie kwartalnym kosztującym z przesyłką pocztową rs. 1.

Do dzisiejszego numeru dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

Druk K. Kowalewskiego w Warszawie ul. Królewska N. 1066*k*. Дозволено Цензурою Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód N. 24 r. 1872.

ALBINA.

STUDJUM POWIEŚCIOWE,

Z NOTATEK AUTORA

UŁOŻYŁ

JAN ZACHARJASIEWICZ.

(Dalszy ciąg.)

Z tych marzeń tak idealnych obudzono mnie zaraz nazajutrz.

Najprzód, jak się dowiedziałem, padł strach paniczny pomiędzy aspirantów do panny Mirandy.

Zaciągano wiadomości o mnie i podawano je sobie z widoczną gorączką.

Jakiś dowcipniś, chcąc przepłoszonych gladjatorów posagu zatrwożyć, puścił w obieg bajkę, że moja prababka była księżną *di Turbino*, a ja rozbiłem w Homburgu Bank w *rouge* i *noir!...*

Tym sposobem tłomaczono gdzie niegdzie moje nadzwyczajne powodzenie.

Ci zaś którzy mnie bliżéj znali, zbiegli się zaraz nazajutrz do mnie z różnemi przyjacielskiemi radami i życzeniami.

Najprzód wystrofowano mnie łagodnie, żem z moich planów przed nimi robił tajemnicę, a potem ofiarowano różne posługi.

Uradzono powszechnie, kiedy już jako konkurent Mirandy publicznie występuje, że muszę zmienić dotychczasowy tryb życia, gdyż inaczéj dobrze rozpoczęta sprawa może się w końcu zwichnąć.

Uznano za rzecz konieczną, abym kosztownem życiem w stolicy stworzył sobie szerszą atmosferę, jak tego wymaga praktykowany obyczaj.

Z trzeciego piętерka hotelu radzono mi spuścić się na pierwsze, i zająć apartament złożony przynajmniéj z trzech pokoi. Do tego konieczną była „Wagnerka", którąby przed bramą hotelu stała dzień cały, a stangret miał na zapytanie każdemu wymienić nazwisko szczęśliwego śmiertelnika, który tu dzień cały stać mu rozkazał.

Jedni byli nawet za własnym ekwipażem i dwoma lokajami w piaskowéj liberji z czerwonemi kołnierzami, a niektórzy załączali do tego poprawkę, aby zamiast lokaja na koźle siedział strzelec sprowadzony z Pragi.

Byli nawet i tacy, którzy mniemali, że wysoka gra w karty zaleca także starającego się kawalera, bo najprzód daje dowody zamożności, a powtóre jest rękojmią na przyszłość, że mąż tak samo na wygódki żony nie będzie rachował się z wydatkami, jak teraz nie liczy się z przegraną!

Jeden podtatusiały weteran epuzerów karnawałowych doradzał mi pewny środek, rzeczywiście heroiczny, o którym jednak utrzymywał, że najpewniéj do celu prowadzi!

Środkiem tym było—zaangażowanie się awanturnicze z jedną ze sławnych syren warszawskich, coby trochę w stolicy narobiło hałasu.

Weteran utrzymywał, że wprawdzie będą na to trochę krzyczeć po salonach, ale pokryjomu każda dama tę awanturę rycerzowi daruje, a nawet pewną sympatję do niego poweźmie.

A gdy na to wszystko brakiem potrzebnych funduszów odpowiadałem, śmiano się ze mnie z litością lub pogardą, stosownie do stanowiska przyjaźni, i zrobiono już naprzód krzyżyk nademną!

— To człowiek stracony! wołano zewsząd na mnie—z niego nic nie będzie!... Któż w ten sposób stara się o pannę! Albożto czasy Abrahama i Jakóba? Czyż ty nie wiesz, że dzisiaj każda panna przebaczy ci, jeżliś a konto jéj posagu robił długi kawalarskie, ale nie przebaczy ci, jeśli bez szumu i hałasu o nią starać się będziesz!...

— Ależ zlitujcie się! wołałem—gdzież pieniądze?

— Pieniądze? Albożto nie ma lichwiarzy? Nie potrzebujesz nawet ich szukać—sami przyjdą do ciebie, jak przychodzą psy do cuchnącéj padliny!...

I śmiano się ze mnie i żartowano, ja wszystko brałem również za śmiech i żarty.

Następne dni jednak dowiodły, że to niebyły żarty! Zaraz rano przyszedł do mnie żyd z rudą brodą, zbliżył się poufale i rzekł:

— Ny, pan chcesz się ożenić z córką pana Mansweta. Nie zły to kugiel! Ojciec bogaty, a nawet wielkie pieniądze zrobił w Wiedniu na giełdzie! Panna pana lubi—ny, trzeba iść daléj. Dam panu faetonik, albo karetę albo co pan chcesz za psie pieniądze i nie chcę ani grosza teraz! Złożę czwórkę, lud dobiorę dwa meklenburgi, które na pierwsze piętro pyskami dostaną! I za to teraz pieniędzy nie chcę! Do tego dam jeszcze parę tysięcy rubli...

Rozgniewała mnie ta bezczelność. Zmarszczyłem czoło i chciałem właśnie jakieś niegrzeczne słowo żydkowi powiedzieć, gdy tenże przerwał mi mówiąc:

— Nie masz się pan za co gniewać! Tak wszyscy robią! Albożto ja jednego tak ożenił?... Czy pan X. przyszedłby do tak posażnéj żonki, gdyby nie moje rubelki? Czy hrabia Y*** który za moje pieniądze w dwóch morzach był, przyjechałby ztamtąd z panią hrabiną, gdyby Szmul Grabhügel nie był na to dał pieniędzy, które się potem od posagu żony odciągnęły?.. A książe z Krymu....

Tupnąłem nogą na żydka. Żydek nie dał się tem zastraszyć, tylko uśmiechnął się i mówił daléj:

— U nas napisano, że co szabas powinno się brać nowy atłasowy żupan i czapkę sobolową. Zdaje mi się jeśli się do panny jakiéj idzie to znaczy więcéj niżeli szabas! A jeśli się wtedy nie ma żupana atłasowego i czapki sobolowéj — to trzeba je wziąść na kredyt! Bo czyżby to rozumnie było, stawać przed panną w codziennych gałganach?...

Otworzyłem drzwi i wypchnąłem poczciwego Szmula mimo jego nieocenionych zasług, że ożenił pana X***, hrabiego Y*** księcia Krymu!

Wszystkie te sceny byłyby dla mnie komiczne, gdyby nie odkrywały mi gruntu, na którym tyle buduje się rzeczy!

Był to tak zwany świat dzisiejszy realny, który od mego idealnego tak mocno się różnił!

Czy rzeczywiście motory tego świata rządzą dzisiaj wszystkiem? pytałem siebie z boleścią... Czy nawet kobieta,owa ostatnia westalka świętego ognia, jest dzisiaj niewolnicą tego świata i daje się do jego robót używać? Czy dzisiaj wszystko tylko kupić potrzeba, mniejsza o to czy pieniądze do tego wzięte są tylko prostem oszustwem?...

Myśli takie trwożyły mnie i rzucały cień niemiły na moje mrzonki idealistyczne.

Miranda powiedziała mi, abym w dniu zwyczajnym przyszedł. Skorzystałem z tego jak najprędzéj.

Zaraz na trzeci dzień udałem się na Nowy-Świat.

Lokaj, który poszedł mnie zapowiedzieć, nie wychodził dosyć długo z powrotem.

Wreszcie pojawił się i otworzył drzwi.

W gabinecie siedział pan Manswet trochę bledszy niżeli zwykle. Dowiedziałem się, że był właśnie po przebytym ataku pedogry. Koło niego siedział sekretarz.

— Czy grasz pan wista? zapytał zaraz na wstępie pan Manswet—o przegraną nie turbuj się!

— Gram! odpowiedziałem szybko chcąc sobie ująć starego pedogrzystę, chociaż ostatnie słowa nie bardzo mi się podobały.

Rozebrano karty i rozpoczął się wist.

Pan Manswet skrupulatnie czuwał, aby prawa gry przestrzegano. Toż graliśmy z zaciśniętemi ustami jak kamienne posągi. Żaden z nas nie wyrzekł ani słowa a pan Manswet ani razu nawet nie zakaszlał jak to czynić zwykli anglicy.

Szelest kart przerywał tylko głuche milczenie i pojedyncze nazwy koloru zadanego.

Zrazu wydawała mi się rola moja dosyć łatwa. Spodziewałem się że to niedługo potrwa. Łowiłem chciwie uchem każdy odgłos w sąsiednich pokojach, i byłem pewny że lada chwila zaszeleści suknia i pojawi się Miranda!

Długi czas upływał a nadzieja moja nie została spełniona. Zacząłem się niepokoić. Odrzucałem karty bez obliczenia. Pan Manswet kilka razy brwi zmarszczył, ale wierny regule ani słowa nie wyrzekł.

Zacząłem przypuszczać, że Mirandy w domu nie ma, że nieszczęśliwa gwiazda moja przywio dła mnie tutaj w dzień dla mnie tak fatalny!

Zagryzłem usta z bólu i grałem daléj.

Wreszcie zdawało mi się że słyszę w salonie szelest sukni... że słyszę nawet głos... tak to ona—to głos Mirandy!

Spłonąłem cały. Dziwnie gorąca krew uderzyła mi do głowy. Zrzuciłem źle kartę.

— Przecież to była *carte forte*! zawołał z gniewem pan Manswet.

— Przepraszam! odpowiedziałem potulny jak baranek.

Szelest sukni gubił się coraz więcéj—w końcu ustał zupełnie.

Za to usłyszałem suchy głos szambelanowéj.

— Ta kamelia wcale ci nie do twarzy! zawołała.

— Ja ją lubię, że naśladuje bladą różę! odpowiedziała jak słabe echo Miranda.

— *Point des reveries banales*! zauważyła szambelanowa żartobliwie.

— *Je ne reve jamais— vous le savez*—odpowiedziała Miranda.

Głuche nastąpiło milczenie.

Rola moja stawała mi się z każdą chwilą nieznośniejszą. Miranda stroiła włosy bladą kamelią, odpowiedziała szambelanowéj że ją lubi dla wspomnień bladéj róży, wypierała się marzeń — wszystko to było dla mnie materjałem do bardzo rozkosznych myśli i byłoby całą moją duszę ogarnęło, gdybym nie grał wista!

Przeklinałem cały Albion za ten szkaradny wynalazek przeklinałem wszystkich fabrykantów tych kartek malowanych, a w końcu i pedogrzystów, spleenistów którzy tę kamedulską gre wymyślili!.

I znowu mijał kwadrans po kwandransie, a Mirandy nie było! Szelest sukni zniknął zupełnie!

Ostatnią moją nadzieją była herbata!

Byłem pewny, że do herbaty zbierze się całe kółko familijne, że Miranda może w tym celu bladą kamelią włosy ustroiła.

Czekałem niecierpliwie téj chwili!

Jakże wielkie było moje zdziwienie, gdy lokaj brzegiem dużéj srebrnéj tacy drzwi otworzył i do gabinetu wszedł z całym przyborem herbaty!

Gdyby zamiast wybornéj herbaty przyniósł mi w téj chwili czarę cykuty—byłbym mu może za to wdzięczniejszy!

— Przestańmy na chwilę, rzekł pan Manswet znacząc kartami koléj dawania.

Przestaliśmy.

Nie miałem odwagi zapytać o Mirandę. Nie wiedziałem co to znaczy. Przypuszczałem zrazu że poszła z szambelanową na wieczór, ale ten sam szelest sukni, który teraz znowu z trzeciego pokoju zaleciał, przekonał mnie że jest w domu.

Byłem zmartwiony i przybity. Piliśmy herbatę nie mówiąc ani słowa. Widać że sekretarz pana Manswetа był do podobnéj milczącéj herbaty przyzwyczajony.

I znowu zaczęliśmy grać!

Gra ta była dla mnie torturą!

Wreszcie wybiła godzina jedenasta.

Znowu ozwał się szelest sukni jedwabnéj. Tym razem nie gubił się w oddali, ale zbliżał się do nas.

Serce rosło mi z radości...

Za chwilę stała przed nami Miranda—za nią weszła do gabinetu szambelanowa.

Obie były wystrojone balowo.

Miranda miała suknię jedwabną w drobne zielone paski ubraną zielonym atłasem. Wyglądała jak świtezianka wynurzająca się z zielonego sitowia.

Oczy miała spokojne, trochę zamyślone. Twarz gładka robiła wrażenie białego marmuru.

Przywitała się ze mną serdecznie i rzekła.

— Jakże żałuję że dzisiaj idziemy do księżnéj.

Stojąca za nią szambelanowa pokiwała za jéj plecami palcem do pana Manswetа i odparła.

— Teraz żałuje, a przed chwilą pokoju mi nie dawała!

Miranda uśmiechnęła się tym czarującym uśmiechem, którym mnie zawsze za serce chwytała.

— „Przed chwilą" a „teraz" to jest zawsze pewna różnica, odpowiedziała bawiąc się białym wachlarzykiem.

— To możemy zostać! rzekła szambelanowa z ukrytym uśmiechem do pana Manswetа.

— Cóżby na to panna Walerja powiedziała, odparła żartobliwie Miranda, która przez dwie godziny mnie ubierała, a potem jak Fidiasz chciała upaść przed swojem dziełem i adorować je.

— Fidiasz chciał upaść przed pięknym posągiem! wtrąciłem z uśmiechem nie wiem sam dla czego.

— Piękność posągu jest najwyższem pięknem! zauważyła Miranda pozując jak posąg.

— W sztuce.. ale nie w życiu! dodałem.

— A czemże jest życie jeśli nie sztuką? zapytała figlarnie Miranda i roześmiała się tak czystym, metalicznym śmiechem, jakby ten śmiech nie z ludzkiéj krtani ale ze srebrnego przyrządu pochodził!

Śmiech ten sprawił na mnie przykre wrażenie. Spojrzałem na nią, aby na twarzy mojéj wyrzut dla siebie wyczytała—ale wyrzutu żadnego nie mogło być w téj chwili na méj twarzy, bo właśnie spotkałem jéj oczy jak z pewnem zajęciem na mnie patrzały!

Pomyślałem sobie, że był to prawdopodobnie żarcik mały z jéj strony, aby mnie trochę podrażnić.

— Czy on tam będzie? zapytał pan Manswet szambelanowéj i dodał do tego zapytania wejrzenie.

— Prawdopodobnie! odpowiedziała szambelanowa.

— Ach! Nie byłem jeszcze u niego z rewizytą!

— Nie trzeba się bardzo spieszyć!

Podczas téj rozmowy wykręciła się Miranda na palcach kilka razy, a potem próbowała z fantazją pierwszą figurę lansiera. Podniosła drobnemi rączkami suknię podpinaną białemi różami i wykonała z nadzwyczajnym wdziękiem kilka kroków.

— *Adieu*! rzekł zniecierpliwiony pan Manswet.

— *Adieu*! rzekły kobiety i pożegnały się.

— Do widzenia się panie Czesławie! rzekła do mnie po raz drugi Miranda i podała mi rękę.

Suknie szeleściały rozkosznie czas niejaki po salonie potem gubił się szelest coraz daléj, a w końcu ustał zupełnie.

Z rozpaczą dałem panu Manswetowi—szlema!

— *Sapristi*! zawołał pan Manswet, robr skończony!.. Wszystkie wygrałeś!

Przyszedłem do domu ale spać się nie kładłem.

Smutek jakiś ogarnął serce moje. Przypominałem sobie wszystkie szczegóły dzisiejszéj herbaty i potrzeba było całego optymizmu zakochanego człowieka, aby tą herbatą mocno się nie zmartwić!

Dzień zastał mnie szamocącego się z samym sobą, bo w krytycznych chwilach człowieka występują w nim zawsze jakieś dwie nieprzyjazne sobie istoty, z których jedna drugą zwalcza!

I nie wiem coby się stało z moim optymizmem który już na serjo w pesymizm przechodzić zaczął, gdyby lokaj pana Manswetа nie był przyniósł mi w téj chwili listu od swego pana.

Rozłamałem prędko pieczątkę.

Pan Manswet kilkoma słowy zapraszał mnie na obiad.

Pod spodem był przypisek: *en redingote*, co znaczyło, że obiad odbędzie się w ścisłem kółku familijnem.

Zadziwiło i zelektryzowało mnie to zaproszenie.

Przed czwartą godziną byłem już na Nowym-Świecie.

— Ma fois! rzekł do mnie zaraz na wstępie pan Manswet, powiedz mi pan kto cię uczył grać wista? Przecież nie pułkownik! Pułkownik tak grać nie umiał.. — Całą noc nie spałem przemyśliwając jakim sposobem mogłeś mi wczoraj dać szlema!.. Pójdźże do gabinetu, do obiadu jeszcze pół godziny... karty rozłożymy jak były wczoraj... no daléj, zaczynaj.

Westchnąłem po tych słowach pana Manswetа, bo one otworzyły mi oczy, dla czego dzisiaj byłem zaproszony na obiad!

— Lecz mniejsza o powód zaproszenia, pomyślałem sobie, ale mogę ujrzyć Mirandę, albo będę blizko niéj, w téj atmosferze którą oddycha!

Zaledwie te słowa pomyślałem, zaskrzypiały z pobocznych drzwi buciki na wysokich korkach, a za chwilę stała Miranda przedemną z rozkosznym na twarzy uśmiechem i śmiejącemi się oczyma.

— Mój ojciec, rzekła do mnie ściskając mnie za rękę, podczas gdy pan Manswet asa pikowego pomiędzy kartami na drugim stoliku szukał—mój ojciec nie może przyjść do siebie po wczorajszym szlemie! Skorzystałam z tego wrażenia i zaproponowałam zaproszenie pana na obiad, abyś ojcu jeszcze raz okazał, jak się szlema daje takiemi kartami!.. A cóż, czyż nie dobrze zrobiłam?.. Czy się pan za to nie pogniewasz na mnie?

Wysunęła z pomiędzy koronek przecudną swą rączkę, którą w téj chwili w zapale nieopisanym ucałować chciałem... ale skończyło się tylko na wykradzionym prawie uścisku, bo pan Manswet właśnie z pikowym asem do nas się zbliżył.

Zasiedliśmy do stołu, ułożyliśmy karty w tym samym porządku, w jakim wczoraj były, i rozpoczęliśmy po raz wtóry na próbę grę, która wczoraj tak świetnie dla mnie się zakończyła!

Miranda nie odeszła już od nas. Siadła naprzeciw mnie, a ponieważ wtedy grałem z dziadkiem, pomagała mi zrzucać karty, przy czem nasze ręce często z sobą się spotykały.

Miranda była w różowym humorze. Jéj twarz blado różowa błyszczała dzisiaj nadzwyczajną radością, żartowała wiele, bawiła się naszą grą jak dziecko.

Zaiste trudne miałem zadanie przy takich warunkach. Miałem dzisiaj powtórzyć wczorajszego szlema, a ponieważ pan Manswet przez noc swoją sytucją doskonale wystudjował i teraz w grze niektóre poprawki robił, nie było więc rzeczą tak łatwą z mojéj strony powtórzyć wczorajsze zwycięztwo.

Mimo to udał się szlem, aż pan Manswet wykrzyknął:

— Niechże cię nie znam! To była gra genialna! Jedź pan do Londynu, a w Jokej-klubie narobisz hałasu!..

Zdaje się, żem w téj chwili wyrósł w oczach pana Manswetа na człowieka znakomitego! Cieszyłem się z tego, bo talent mój wistowy otworzył mi nie tylko dom pana Manswetа ale i serce jego. Uściskał mnie serdecznie.

Lokaj zapowiedział obiad. Pan Manswet został, aby karty uporządkować, a Miranda podała mi ramię.

W pokoju jadalnym czekała już szambelanowa.

Przywitała mnie daleko grzeczniéj i uprzejméj niżeli kiedykolwiek i zaraz na wstępie w sposób humorystyczny opowiadała o zmartwieniu pana Manswetа przy rannéj herbacie, który wczorajszego szlemu zapomnieć nie mógł!

Siedliśmy wszyscy do stołu.

Humory były wyborne. Pan Manswet był mi nadzwyczaj rad. Sam wybierał dla mnie najlepsze kęski z podawanych potraw. Kazał mi nalewać kieliszki i opowiadał o pewnym graczu wiedeńskim, pensjonowanym jenerale, który gra wista jakby wszystkie karty czytał—jednak takiego szlemu z takim materjałem nigdy nie zrobił!...

Miranda stroiła jeszcze coraz wyżéj dobry humor ojca. Była nadzwyczaj rozmowna, dowcipna, a bawiła wszystkich jak rozbawione dziecko.

— Widzę, że jesteś dzisiaj w nadzwyczajnym humorze, zauważył pan Manswet patrząc ze znaczeniem na szambelanową.

— I ja już tę samą uwagę zrobiłam! odpowiedziała szambelanowa.

— Jakże nie mam się cieszyć dzisiaj, odrzekła figlarnie Miranda, cieszyć się z różnych przyjemności, jeśli ojciec cieszysz się z szlemu, który ci dano!

— Można od kogoś z radością przyjąć i złe rzeczy, byle te rzeczy były podane genialnie. Szlem pana Czesława był genialny!

Miranda wysłała do mnie jedno z tych wejrzeń kobiecych, które wiele, bardzo wiele słodkich rzeczy nam mówią, chociaż usta milczą. Po chwili ozwała się:

— Jeżeli ojciec cieszy się z odebrania genialnego szlema, to niechże wolno mi będzie cieszyć się z tego, co mi prawdziwą przyjemność sprawia!

— Czy ta przyjemność równocześnie z moim szlemem wczoraj nastąpiła? Zapytał z uśmiechem pan Manswet, rzuciwszy wejrzenie na szambelanową.

Szambelanowa uśmiechnęła się z pewnem znaczeniem, z którego widocznie kontent był pan Manswet.

— Jeżeli ojciec, odpowiedziała żywo Miranda, chce koniecznie z precyzją wiedzieć o mojéj zagadkowéj przyjemności, która mnie w tak dobry humor dzisiaj wprawia, to chętnie mu tę rzecz wyjaśnię. Przyjemność ta jest w téj chwili przedemną (zdaje mi się, że Miranda spojrzała teraz na mnie) jest tuż przedemną! Jest nią... kotlet z sarniny z zielonym groszkiem, który tak namiętnie lubię!

Wszyscy parsknęli śmiechem, do czego i ja musiałem się przyłączyć. Przyłączyłem się tem chętniéj, bo rzeczywiście w téj chwili byłem w humorze prawdziwie różanym!.. Słowa Mirandy zrozumiałem...

Po obiedzie powiedział pan Manswet, że ma zwyczaj przedrzemać się trochę, ponieważ jednak mieliśmy projekt rozpocząć wista na nowo, więc zaproponował mi, abym się trochę z sekretarzem lub paniami zabawił.

Nim jeszcze na tak przyjemną propozycję odpowiedzieć mogłem, wziął mnie sekretarz za rękę i rzekł do pana Mansweta:

— Ja zaproszę pana Czesława, do mego pokoju na cygaro, a temczasem będzie pan hrabia gotów z swoim wypoczynkiem.

Nie na rękę było mi to zaproszenie, bo wolałbym z paniami w salonie pozostać. Zrozumiała moje zmartwienie Miranda, bo zaraz dodała:

— Cygaro zapewnie długo nie potrwa—a wtedy nim się ojciec jeszcze obudzi, prosimy pana do nas.

Z rozpromienioną od radości twarzą pożegnałem panie tymczasowo i udałem się za sekretarzem.

Sekretarz dał mi wprawdzie wyborowe cygaro, starał się zawiązać ze mną dłuższą rozmowę,opowiadał mi szeroko o swoich poufałych z panami stosunkach, a nawet potrącił mimochodem o niektóre sekreciki salonowe—mimo to jednak nie mógł mnie długo przy sobie utrzymać.

Korzystając z pierwszéj pauzy, jaką sekretarz dla zmiany przedmiotu uczynił, odłożyłem cygaro i udałem się do salonu.

W salonie nie zastałem nikogo. W przyległym tylko pokoju słyszałem panie z sobą rozmawiające, mówiły po angielsku.

Nie chcąc je zejść niespodzianie, nie szedłem do nich, ale czekałem na nie w salonie. Aby je uprzedzić, że jestem w salonie, zacząłem się przechadzać.

Stąpałem dosyć głośno, a nawet chrząknąłem kilka razy, mimo to usłyszalem koniec rozmowy:

— Twój przyjaciel dziecinny, mówiła szambelanowa, jest wcale miłym. Twarz ma tak ładną jak rzadko, osobliwie wyraz oczu bardzo ujmujący!

— Już małym chłopcem obiecywał wiele, odparła Miranda, teraz gdy dojrzał, jest modelem dobrze ułożonego człowieka! Można mieć dla niego sympatję!

— Tylko nie egzażeruj zaraz po swojemu!

— Ja zawsze to mówię, co czuję!

Tutaj nie mogłem już dłużej pozostać niewidzianym. Byłoby to wielką niedyskrecją z mojéj strony.

Postąpiłem dosyć głośno ku drzwiom otwartym.

— Któż tam idzie? zapytała szambelanowa.

— Ja jestem! odpowiedziałem.

— Prosimy do nas! ozwała się Miranda.

Wszedłem do budoaru szambelanowéj.

— Cygaro za długo trwało, rzekła Miranda z ujmującem wejrzeniem na mnie.

Szambelanowa miała w ręku jakąś robótkę włóczkową. Mnóstwo motków różnokolorowéj włóczki leżały jéj na kolanach. Spostrzegłem mimo woli, że niemłoda i nieładna kobieta, otoczyła się jak naumyślnie temi jaskrawemi barwami, aby śród nich lepiéj jéj twarz wyglądała.

— Wybrałem jak najkrótsze i jeszcze nie dopaliłem go, odpowiedziałem dziękując w duszy za to przyjemne wejrzenie.

— Miranda jak widzę, lubi się spierać z towarzyszem swego dziecinnego wieku, zauważyła szambelanowa.

— Szczerze wyznaję pani szambelanowéj, odparłem, że to dopiero teraz następuje. Dawniéj nie było między nami żadnego sporu, we wszystkiem byliśmy zgodni.

— Czy masz pan dowody, zapytała szybko Miranda, że ta zgoda w czemkolwiek z mojéj strony naruszoną została? Powiedz pan!

— Obawiam się bardzo odpowiedzieć na to stanowczo!

— Widać, że pan masz niedobre sumienie!

— Zamiast „sumienie" powiedziałbym — przeczucie!

— To pan się trapisz niepotrzebną marą.

— Prawda,—teraz uznaję, że ta mara może niepotrzebną była!

Powiedziawszy te słowa spojrzałem ze strachem na szambelanową, bo w téj chwili prawie zapomniałem o niéj. Szambelanowa jednak jak się zdaje, nie słyszała naszéj rozmowy. Zajętą była rozmotaniem jakiegoś uporczywego węzła. Twarz jéj uśmiechała się do tajemnych myśli, które w téj chwili ją zajmowały. Być może, że właśnie teraz goniła wspomnieniem młode chwile życia, w których podobną była do dzisiejszéj Mirandy!...

Wydawało mi się, że i Miranda w takiéj saméj obawie na szambelanową spojrzała.

— Stryjenka śmieje się ze mnie! rzekła Miranda z minką zadąsaną.

— Sama mnie do śmiechu pobudzasz!... Powtarzasz się moje dziecię a tego trzeba się przedewszystkiem wystrzegać! *Il faut savoir tourner la phrase!*

Nie wiedziałem do czego te słowa zmierzają.

Umilkłem.

Miranda milczała także czas niejaki. Jéj twarz wyrażała, jakby słowa szambelanowéj sprawiły na niej niemiłe wrażenie. Aby tę pauzę niemiłą przeciąć, zacząłem opowiadać coś o Warszawie.

Wdzięczną była mi Miranda za tę opowieść. Widziałem to po jéj twarzy, po oczach!

Wkrótce ożywiła się znowu powszechna rozmowa, a pani szambelanowa wypytywała mnie łaskawie o moje stosunki za granicą i o dotychczasowe koleje życia. Widziałem, że Miranda słuchała mnie ciekawie.

Potem cofnęliśmy się do lat młodych. Miranda opowiadała o pułkowniku, Napoleonie i o „Zosi przy okienku", a nawet musiała na żądanie szambelanowéj usiąść do fortepianu i tę piosnkę zaśpiewać.

Serce moje o mało co mi nie pękło, gdym usłyszał tę piosnkę! Do tego jeszcze Miranda śpiewała ją z takiem czuciem, tak delikatnie cieniowała akompaniament fortepianu, że prosta ta piosnka nabrała u niéj jakiegoś nadzwyczajnego, nowego uroku!

— Myślałem, żeś pani już dawno tę piosnkę zapomniała! rzekłem uradowany!

— Czy pan z mego śpiewu nic nie wnosisz odpowiedziała zarumieniona Miranda, nie spostrzegłeś pan, że kto tę piosnkę tak wykonywa, ten zapewnie wiele razy, a może i za często ją śpiewa!.

W téj chwili wszedł lokaj, i przed szambelanową położył kartę wizytową.

Miranda odskoczyła od fortepianu i obie kobiety czytały razem z zajęciem nazwisko na karcie.

— Prosić, prosić! szybko wymówiła szambelanowa i spojrzała z uwagą na Mirandę, która w téj chwili pobiegła do zwierciadła, aby sobie włosy poprawić.

W salonie nastąpiło milczenie.

Było to dla mnie, sam nie wiem dla czego, smutne grobowe milczenie.

Wreszcie dały się słyszeć kroki idącego gościa.

Był to młody człowiek, twarzy ładnéj i inteligentnéj.

Z swobodą właściwą ludziom tak zwanego wyższego towarzystwa, którzy cały dzień w téj swobodzie się ćwiczą, postąpił naprzód i z damami uprzejmie się przywitał.

Szambelanowa znowu miała zamiar ignorować moją osobę, ale Miranda przedstawiła mnie jak najbliższego swego sąsiada.

Młody człowiek przywitał mnie grzecznie, a rozmowa zaczęła się toczyć z razu na temat ogólniejszy.

Potem skierowała szambelanowa rozmowę na wczorajszy wieczór u księżnéj, i odtąd musiałem milczyć, gdyż szczegóły tego wieczoru nie były mi znane.

Miranda kilka razy chciała mnie wmieszać do téj rozmowy, ale jakoś to się jéj nie udało.

Do nieznajomości przedmiotu, o którym rozmawiano, przyłączyło się jeszcze moje spostrzeżenie, że młody gość jest tym samym młodzieńcem, który owego czasu z tym jegomością w peruce był u dzierżawcy Jedlnéj, i oglądał majątek, jakby był na sprzedaż!

Nim jeszcze z tego spostrzeżenia jakiekolwiek wnioski uczynić mogłem, pojawił się w salonie pan Manswet a witając gościa serdecznie rzekł do niego:

— Nie miéj mi pan za złe, że dotąd pana nie odwiedziłem — pedogra temu winna... czy grasz pan wista?

Młody człowiek odpowiedział bardzo grzecznie i skromnie co do rewizyty nie oddanéj — i żałował szczerze, że wista nie gra, tylko gry nowsze

— Prawda, żem już stary, odpowiedział z uśmiechem pan Manswet, to lubię stare wino, stare złoto, i stare gry!... Zapewne z paniami zechcesz się pan trochę zabawić—a my panie Czesławie, nie traćmy czasu! Jestem przygotowany jeszcze na jednego szlema.

Z westchnieniem i jakimś dziwnym niepokojem poszedłem do gry.

Gra tym razem nie szła mi tak szczęśliwie.

Przeszkadzały mi wesołe śmiechy w salonie, śród których wyróżniał się sopranowy, metaliczny głos Mirandy!

Głos ten dźwięczał rozkosznie, silnem echem dolatywał do gabinetu pana Mansweta, i mieszał mi kolory kart rozłożonych!....

(d. c. n.)

MARZENIA GILBERTY

OPOWIADANIE

Amadeusza Acharda.

(Dalszy ciąg.)

Nazajutrz, po nocy zapełnionéj gorączkowemi widzeniami, oczy Gilberty napotkały naprzód żałobne suknie przygotowane dla niej przy łóżku. Wkrótce weszła do pokoju klucznica, przynosząc jej rachunki domowego gospodarstwa i zapytując co ma na ten dzień do rozkazania. Widząc zdumienie na twarzy Gilberty, dodała że spełnia w tym względzie rozkazy sztarszej pani.

Tak tedy od pierwszego dnia pobytu swego w domu, młoda dziewczyna objęła jego zarząd we wszystkich szczegółach. Dni upływały dla niej podobne do siebie, ale zawsze zapełnione pracą. Z końcem miesiąca zdawała rachunki matce, która je przeglądała i czyniła uwagi, łagodnie, ale też bezstronnej pobłażliwości. Załatwiwszy się z domowemi zajęciami, Gilberta poświęcała umysłowej pracy resztę czasu. Nieraz życie to przypominało jej pobyt na pensji, z tą tylko różnicą, że mu brakło gwarnych i wesołych chwil rekracji.

Pani de Villepreux przepędzała większą część czasu w swym pokoju, zajęta długiemi naradami z rządcami i prawnikami. Celem jej usiłowań było oczyścić o ile możności mienie córki z licznych długów na niem ciążących. Nie lada trudem była podobna robota i potrzeba było całej siły macierzyńskiego uczucia, aby się przed nią nie cofnąć. Odrzucając rady nakłaniające ją do zrzeczenia się spadku prawie niepodobnego do ocalenia, skutkiem kilkunastu letniego bezrządu i strat poniesionych w najnierozważniejszych przedsięwzięciach, pani de Villepreux rozpatrzyła się osobiście w stanie majątku córki i nabyła przekonania, że z czasem przy dobrym ładzie i oszczędności potrafi wyjść z obecnych kłopotów. Temu więc staraniu oddała wszystkie siły swoje. Wieczorem, kiedy już obie pozałatwiały dzienne zajęcia, matka i córka odpoczywały po pracy, rozrywając się zwykle muzyką lub głośnem czytaniem. W godzinach owych rozmowa mało zajmowała miejsca, w życiu bowiem codziennem Giliberta znajdowała teraz matkę taką, jaką ją widywała gdy dzieckiem przybywała do zamku na czas wakacyi. Chłodna i milcząca, pani de Villepreux zdawała się posłuszną w każdej chwili życia, jakby regule jakiejś zakonnej, której surowość przesadzała, narzuciwszy ją sobie z własnej woli. Osamotnienie owdowienia dopełniało dzieła długich lat spędzonych na posępnych rozmyślaniach, którym ciągłe cierpienia dodawały coraz większej goryczy. Serce tej kobiety nie umiało już się wynurzać, po pierwszej chwili czułego z córką powitania, na zewnątrz została surowa i wymagająca aby każda chwila oddaną była pracy, aby każdy obowiązek, niezwłocznie i w zupełności był spełnionym. W oczach jej życie zdawało się być tylko zadaną człowiekowi robotą, której biegu nie należało przerywać żadną rozrywką, żadną nawet chwilą pieszczoty.

Zrazu nieco zdziwiona a nawet i zasmucona tem obejściem, Gilberta zastanowiwszy się swoim zwyczajem nad swem położeniem, nie straciła odwagi i chętnie, prawie wesoło, poddała się wszystkiemu czego od niej żądano, nie przestając jednak studjować uważnie matki. Niebawem dostrzegła, że oczy pani de Villepreux spoczywały na jej twarzy z niewysłowionym wyrazem czułości, ilekroć myślała że nie jest widzianą. Wtedy odblask wewnętrznej rozkoszy opromieniał twarz matki i tłumione westchnienia pierś jej podnosiły. Ale byleby tylko Gilberta zwróciła się ku niej wszystko znikało od razu. Zdziwienie pozostało w umyśle dziewczęcia, ale smutek opuścił jej serce.

Pewnego wieczoru Gilberta uczuła się znagła słabą na ciężki ból głowy. Zaraźliwa gorączka panowała w okolicy, niebawem też okazało się że uległa tej chorobie. Od pierwszej chwili, matka nie odstąpiła od jej łóżka. Razu jednego wśród gorączkowych marzeń, pół senna, bezprzytomna prawie, Gilberta widziała ją, czy też śniła, że ją widzi klęczącą przy niej i tulącą w milczeniu do ust jej rękę bezwładną. Orzeźwiona i jakby ochłodzona tą słodką pieszczotą, chora zamknęła oczy i zwolna, nie usuwając ręki, zapadła w sen głęboki. Gdy się zbudziła z czołem zroszonem potem zbawiennym poszukała wzrokiem matki i zdziwiona ujrzała ją siedzącą w krześle o parę kroków. Myślą, Gilberta w innéj ją sobie wyobrażała postawie. Może to był sen tylko.

— Matko, tyś tam nie była przedtem? spytała.

— Nie wychodziłam ztąd wcale, odpowiedziała tylko pani de Villepreux.

Potem wstała i nalawszy w łyżkę lekarstwo, podała je córce. Gilberta, osłabiona i rozdrażniona do najwyższego stopnia gorączką, potrząsła głową z wyrazem wstrętu. Na co się opierać temu co być musi? rzekła stanowczym głosem pani de Villepreux.

Gilberta zadrżała. Niewyraźne wspomnienie przypominało jej dźwięki słów podobnych, już kiedyś z tych samych ust zasłyszanych. Wypiła lekarstwo posłuszna rozkazowi matki, ale w tej chwili spostrzegła że ręka którą trzymała spuszczoną z łóżka, była jakby od łez wilgotna.

Razu jednego, Gilberta wróciwszy już do zdrowia, siadła wieczorem do fortepianu. Przez długi czas powtarzała pewien ustęp z sonaty Beethovena, nie mogąc mu nigdy nadać wyrazu, którego miała w sobie poczucie. Naprożno wracała do niego z wytrwałą cierpliwością, za każdą razą potrząsała główką z niezadowoleniem i zgrabne jej paluszki z coraz nową siłą przebiegały po klawiszach.

Siedząca przy stoliku z robotą matka, spoglądała na nią od czasu do czasu.

— Może już dosyć tego, zmęczysz się moje dziecię rzekła wreszcie.

— O nie, mamo, to być musi—odpowiedziała Gilberta. Czyżby cierpliwość moja nie pokonała kilkunastu taktów nieco trudniejszych?

— Masz słuszność....grajże dalej.

Gilberta pracowała dalej. Wkrótce, zapatrzona w nią matka, wypuściła z rąk robótkę i ręce jej opadły na kolana. Ze łzami w oczach, uśmiechnięta, rozpromieniona, zapominała biegu czasu w słodkim zachwycie ziszczonego marzenia. Gilberta grała ciągle i pokonawszy wreszcie trudności, oddawała się z rozkoszą wrażeniom jakie w niej budził piękny utwór wielkiego mistrza. Gra jej z razu żywa i świetna, zwolniała stopniowo i złagodniała pod wpływem wewnętrznego wzruszenia, aż uciszając się coraz bardziej zgasła wreszcie w zaledwie dosłyszanych tonach, raczej już szmerem niż dźwiękiem będących. Gdy wszystko ustało, pani Villepreux nie zmieniła postawy, twarz jej wyrażała szczęście niewysłowione a zaduma była tak głęboką, że nie widziała wcale iż córka z uwagą się jej przypatrywała.

— Uściskaj że mnie matko, rzekła wreszcie pieszczotliwie Gilberta, wszakże i ty pragniesz tego.

To mówiąc zbliżyła się ku pani de Villepreux, która nie powstrzymując na ten raz objawu swych uczuć, czule ją ściskać poczęła.

— Powiedz że mi nareszcie droga matko, rzekła po chwili Gilberta, dla czegóż to wszystko—dla czego?...

— Pytasz, dla czego postawiłam zaporę pomiędzy mojem sercem i tobą? Dla czego od lat tylu, tłumię w niem uczucie od których nawału o mało nie pęka? Dla czego miłości mojej głosu nigdy nie słucham a nawet potrafiłam zapanować nad nią do tego stopnia, żeś ty sama nieraz o niej zwątpić mogła? O Gilberto moja, jeślim ja twardą była tobie mistrzynią, to dla tego że życie twardym mi także było mistrzem. Chciałam uzbroić ciebie do walki—dać ci to, czego mnie zabrakło, przygotować cię do tego co mnie bezsilną zaskoczyło, z dziecka chciałam jednem słowem wytworzyć kobietę hartu niemal męzkiego, bo bez męzkiej siły nie spodziewać nam się w życiu jak tylko cierpienia w każdą chwilę.

— Więc dla tego wyprawiłaś mię do Niederbrühle kochana matko, i potrafiłaś rozstać się ze mną na tak długo?

— Tak jest, Gilberto, i nie dla innej przyczyny skazałam się na ukrywanie przed tobą mojej miłości dla ciebie, bo należy przyzwyczaić się nie być kochaną.

Gilberta pochyliła się ku rękom matki i całując je rzekła:

— Z tem wszystkiem, nie bardzoś mię potrafiła oszukać, droga mateczko.

Potem, patrząc jej w oczy, dodała:

— Więc dużo w życiu cierpiałaś?

— Nie pytaj mię o to, są rzeczy które wolę przemilczeć. Jeśli podobne próby i ciebie czekają, chcę abyś była przynajmniej w stanie je przetrwać. Co do mnie, zaczęłam od marzeń, a na łzach skończyłam. Ciebie usiłowałam zahartować na podobieństwo stali ...ale obyś nie zaznała nigdy cierpień, które ów hart na próbę wystawi.

Oczy Gilberty zwróciły się mimowolnie ku portretowi ojca, i na wspomnienie, gwałtownych zajść jakich była świadkiem, dreszcz przebiegł jej członki.

— Nie obwiniam nikogo—mówiła dalej pani de Villepreux: może nie posiadałam warunków potrzebnych do uszczęśliwienia twojego ojca, może też znalazłam się ubezwładnioną w obec wpływów z któremi walczyć nie umiałam. Bądź co bądź życie moje upłynęło w cierpieniach i łzach bezowocnych. Pewnego dnia, zawezwana do ojca twojego, znalazłam go umierającym; resztki życia ożywiały go zaledwie. Cóż za okropne godziny przebywałam przy nim, szukając nadaremnie w zagasłych jego źrenicach znikającego już promienia myśli! Czy mię poznał czy to oznaczał słaby uścisk jego ręki? O jakżebym chciała temu uwierzyć! Po niewielu chwilach, tyś mi jedna pozostała na świecie. Wtedy to przyzwałam cię do siebie, z zamiarem wszelako prowadzenia dalej pracy raz rozpoczętej. Jeśli dzięki jej, stałaś się mniej wrażliwa na ciosy jakie cię w życiu mogą dotknąć, cierpienia moje nie były nadaremne.

Potem, odsuwając się nieco od córki, dodała z tkliwym niepokojem.

— Może masz do mnie trochę urazy, drogie dziecię?

— O matko moja, jam cię dawno odgadła i dla tego właśnie nigdy mię smutną nie widywałaś.

— Zdejmujesz temi słowy kamień z mojego serca, kochana Gilberto. O! gdybyś wiedziała czem ja byłam w twym wieku. Nie znałam co znaczy słowo nagany, same tylko pieszczoty mię otaczały. Ani pojąć nie umiałam aby komu mogło być źle na świecie. Dni moje upływały tak jak upływają wody strumienia wysłanego mchem miękkim.... jak on szemrze wesoło, tak ja wesoło śpiewałam. Aż potem—życie z nagła przedemną się roztwarło. Weszłam w nie podo-

bna do dziecięcia wchodzącego w jedwabnej sukience w krzak kolczastego głogu. Za każdym krokiem, nową ranę, nowy ból uczuwałam....kiedy mi Bóg podarował ciebie, w pierwszej chwili radości, tuląc cię w objęciach, marzyłam być dla ciebie tem czem matka moja dla mnie była. Ale przypomniałam sobie niebawem, że nie nadarmo zakosztowałam sama gorzkiego owocu doświadczenia. Znałam już wtedy co życie w ciemnych swych zakątach ukrywa, i przypomniałam sobie w porę starożytne podanie o dziecinnych latach Achillesa. Jak jemu hartowano ciało, tak postanowiłam w tobie zahartować duszę, bo nie wojowniczką miałaś być, ale kobietą. Dla tego w obejściu z tobą stałam się surową, dla tego oddaliłam cię od widoku łez moich i osamotnienia. Odwagi dodawała mi w tym razie pewność, że ci przyszłość przyniesie to samo co przeszłość mnie przyniosła. Przekonanie to trwa dotąd we mnie: nie wiem w jakiej postaci nawiedzi cię cierpienie, ale tego jestem pewną przynajmniej, że cię ono nie zastanie bezbronną.

Wymawiając te słowa, płakała wsparłszy głowę na ramieniu córki.

— Łzy moje płyną, mówiła dalej, i serce w nich ulgę znajduje, ileż więcej były gorzkiemi, gdy przez lat tyle w samotności je wylewałam. Tego com uczyniła, nie żałuję bynajmniej, i może dalej jeszcze pójdę tą samą drogą.... bo w tem tylko widzę twoje ocalenie.

— Idź dalej raz obranym torem, droga matko, rzekła Gilberta, jam silna i do tego kocham cię całem sercem.

— Nie więcej pewnie jak ja ciebie, odparła pani de Villepreux, ocierając oczy. Jakiem dziś dumna z mojego dzieła! Każdego roku, kiedy przyjeżdżałaś z Niederbrühle, stwierdzałam z wewnętrzną uciechą o ile postąpiłaś w cierpliwości, w stałości charakteru, w stanowczości postanowienia. Umysł twój rozwijał się na podobieństwo pięknego kwiatu, nie lękającego się ani słonecznego skwaru, ani zimnego wiatru podmuchów. Uśmiechasz się Gilberto? Czy to znaczy że ufność moja zdaje ci się nieco przedwczesną, czy też dopatrujesz pewną przesadę w zastosowaniu moich pojęć?

— Zgadujesz może w części myśl moją droga matko, wszelako, nie całkiem dokładnie ją określasz. Nie na darmo przybyłam lat kilka w zakładzie pani Dittmer. Nawykłam tam zastanawiać się nad wszystkiem i wszystko rozważać. Dzisiaj, mam i ja już swoje własne pojęcia.

— Ale czy są to pojęcia, czy też marzenia?

— Widzę że zawiadomiono cię dokładnie o wszystkiem co się mnie tyczy, kochana matko, rzekła z uśmiechem Gilberta. Tak jest, marzyć lubię czasem. Ileż nie nażartowano się w zakładzie z tych biednych moich marzeń! A jednak z pewnością im zawdzięczam najmilsze moje chwile. Cóż to za rozkosz pożyć sobie trochę w świecie przez siebie stworzonym, panować w nim samowolnie, układać wszystko po swojej myśli, widzieć urojone zdarzenia płynące swobodnym lotem ptaków, szybujących w przestworzu ku promiennemu kresowi, gdzie wszystko szczęśliwie bywa rozwiązanem.. O jakże mądrym budowniczym jest miłość, jak bogatym w piękne pomysły!

— Miłość powiadasz? a jabym tego budowniczego nazwała fantazją.

— Mniejsza o nazwę, byleby szczęście napotkać u szczytu budowy.

— Więc masz w nie wiarę, Gilberto?

— Jeźli nie wiarę to chociaż nadzieję noszę w sercu.

Słysząc to matka potrząsła głową.

— Otóż i owoc wytrwałej pracy mojéj! rzekła. Posiejesz ziarno pożywne, a wyrosną ci róże co wonią tylko karmią.

— Nie użalajmy się na to droga matko. Chciałażbyś dla mnie młodości bez kwiatów i bez woni? Żaden posiew nie przepada, bądź tego pewną. Przyjdzie pora i na kłosy.

— Może, któż wie czy nie masz w tem słuszności?

— A jeśli tak nie jest, odparła Gilberta z lekkim odcieniem smutku, jeśli obawy twoje nie są płonne, droga mateczko, to i w tym razie czyliż za sprawą czasu nie stanie się coraz mniéj wybujałym polot moich marzeń?

II.

Po téj rozmowie, żadna zmiana nie zaszła ani w trybie życia matki i córki, ani we wzajemnym ich stosunku. Wierna raz obranéj drodze, pani de Villepreux szła nią dalej odważnie. Czas upływał dla Gilberty zapełniony ciągłą, acz urozmaiconą pracą, a jedyną jéj rozrywką bywały godziny przeznaczone przechadzkom, czytaniu lub muzyce. Rok już był minął od śmierci jéj ojca. Niekiedy, przelotnem wejrzeniem usiłowała pochwycić na jego wizerunku tajemnicę owego żywota, i owéj osobistości otoczonéj dla niéj pomroką, ale pogodne i uśmiechnięte owo oblicze nie miało nic wspólnego z twarzą któréj wyraz przechowała pamięć Gilberty.

Pewnego poranku, podczas gdy w ogrodzie karmiła swoim zwyczajem gołębie polatujące koło niéj, mieniące przy słonecznych promieniach wdzięczne swe barwy, ujrzała otwierającą się z nagła furtkę wychodzącą na gościniec. Wszedł nią młodzieniec wysmukły i przystrojony, w białem letniem ubraniu i zbliżył się żywo do Gilberty podając jéj rękę. Spłoszone gołębie rozleciały się na wszystkie strony, zostawiając młodą dziewczynę samą na grządkach, zasadzonych truskawkami z koszykiem w ręku i z twarzą dosyć zdziwioną.

— Widzę że mię już tu nikt nie poznaje, ani Gilberta, ani jéj wychowańcy, rzekł nowo przybyły wskazując gołębie, które już uszykowane na daszku sąsiedniego gołębnika, muskały sobie dziobkami pióra rozrzucone w szybkim odlocie.

Gilberta tymczasem przypatrywała się ciekawie i z uśmiechem młodzieńcowi. Głos jego budził w niéj niewyraźne jakieś wspomnienia. Znagła, wydała lekki wykrzyk. Ach to Roger! zawołała.

— Tak jest—on a nie kto inny—odrzekł wesoło, Roger de Verèze we własnéj osobie, ten z którym to nazbierałaś niegdyś tyle orzechów i narwałaś tyle czereśni. Ale jakżeś wyrosła Gilberto! czemużbyśmy się też po dawnemu nie uściskali?

— I owszem—odrzekła nieco zapłoniona.

— Co to za uciecha dotknąć znowu ustami téj kochanéj twojéj twarzyczki, zawołał Roger ucałowawszy ją serdecznie. Jakżeś też wypiękniała! wiesz że jesteś prześliczna, Gilberto... Otóż to tak na świecie: pożegnałeś pensjonarkę a znajdujesz pannę na wydaniu. No, ale powiedz że mi, czyś także rada żeśmy się znowu spotkali?

— O! i bardzo.

— To dobrze. Dopieroż się nagadamy i nachodzimy z sobą po dawnemu! Bo muszę ci powiedzieć, że zabawię u babki z jakie sześć tygodni-może i dłużéj... sam nie wiem.,. Wyznam ci poufnie, że porobiłem jakieś niedorzecznści...

— Jakto? co za niedorzeczności?

— No tak, jakieś tam.. za młoda jesteś żebym ci to mógł opowiedzieć. Widzisz Gilberto jam już nie ten Roger co dawniéj. Dosyć że babka się pogniewała i kazano mi powrócić do rodzinnego gniazda.

— W takim razie, rada jestem żeś był niedorzeczny.

— A! Czy wiesz żeś to bardzo ładnie powiedziała. Bądź co bądź jednak, nie pobłażaj mi nadto, niedorzeczności moje kosztowały mię drogo, a czuję że przy danéj sposobności powróciłbym do nich... Ale powiedz mi też, czy się tu dobrze bawicie?

— Nie umiem ci powiedzieć. To zależy od znaczenia jakie dajemy słowu: zabawa.

— Ma ona jedno tylko. Bawić się, oznacza wesoło czas spędzać.

— Tutaj, schodzi on na czytaniu, na domowych zajęciach, na odwiedzaniu chorych i biednych... Nie brak ani na chwilę głowie i rękom zajęcia.

— Tam do licha! sądzę że w porę przybywam aby to wszystko trochę rozweselić! Zaręczam ci Gilberto, że zamek La Gerboise nie będzie podobnym do zamku La Marnière. Ale—zapomniałem ci powiedzieć, że mamy wdomu wprzyszłą niedzielę wieczorek tańcujący. Pani de Varèze, szanowna babcia moja, zjedzie tu przedtem w odwiecznéj swéj landarze dla zaproszenia was według wszelkiéj etykiety. Tymczasem, ja tego prywatnie dopełniam, zamawiając sobie zarazem pierwszy z tobą taniec.

Gdy tak rozmawiali, kilka śmielszych gołębi, zwabionych ziarnem, które pośród trawy dostrzegły, zbliżało się coraz bardziéj dotykając już prawie różowemi dzióbkami grządki na któréj stała młoda para.

— Znałem kiedyś ich rodziców, rzekł Roger spoglądając na nią z uśmiechem.

— I nawet strzelałeś do nich nieraz z twojéj fuzyjki.

— Tem bardziéj winienem ich dzieciom wynagrodzenie, rzekł biorąc z kosza ziarno i rozrzucając je pełnemi garściami. Zwabione tym widokiem ptaki zleciały się tłumnie, potrącając się nawzajem i cisnąc się aż pod nogi Rogera, który rzekł z uśmiechem.

— Zajęcie to nie przypomina w niczem tych, którym czas oddawałem w Paryżu, z tem wszystkiem prawie równie jest zabawnem.

— Cóż tam więc porabiałeś w Paryżu? spytała Gilberta wpatrując się w niego swem przejrzystem wejrzeniem, którego poważne głębie łagodził wyraz wesoły i ujmujący.

— Jakaś ty ciekawa. Patrz no Gilberto, jakie śliczne te dwa gołąbki które teraz odemnie odlatują. Otóż myślę, że gdybym ci powiedział co porabiałem w Paryżu, zrobiłabyś jak one.

— Prawda, wszak wspominałeś o jakichś niedorzecznościach... rzekła posmutniawszy znagła. Po chwili, dodała:

— Rzecz to dziwna. Pamiętam, kiedyś w Niederbrühle, napotkałam w odludnej części ogrodu jedną z moich towarzyszek, całą we łzach. Była to niemka. Opowiedziała mi że brat jej zmuszony został odpłynąć do Ameryki, straciwszy całe swoje mienie....ale mówiła o jego szaleństwach, nie zaś o niedorzecznościach.

— Jedno i drugie znaczy prawie to samo—rzekł z cicha Roger i z kolei twarz jego spospniała.

— Jakto? czyżbyś i ty więc.... odezwała się Gilberta.

— O nie, przerwał jej, nie zaszedłem jeszcze tak daleko,—ale....mam przed sobą przyszłość!...

— Czybym czego dla ciebie uczynić nie mogła? spytała poważnie.

Wybuchnął głośnym śmiechem i rzekł:

— Możesz przyobiecać mi dwie polki i dwa walce na niedzielę.

Łza zabłysła w oku Gilberty; młodzieniec ją dostrzegł i biorąc jej rękę, zawołał nieco wzruszony.

— Przebacz mi, Gilberto, widzę że z tobą nie ma żartu. Serce masz złote. Na prawdę, nie codzień można napotkać tak szczerą ofiarę, uczynioną przez dorosłą pannę młodzieńcowi mojego wieku. Chciéj więc zrozumieć, że mię ona na razie zdziwić mogła.

— Czy pamiętasz bajkę La Fontain'a? spytała, ocierając nieznacznie oczy końcem zgrabnych paluszków. „Nieraz i słabszy silnemu się przyda."

— Pamiętam—pamiętam—i oświadczam, że jeśli tym słabszym masz ty być kuzyneczko, w takim razie nie chcę innéj podpory. A teraz, zaprowadź mię do twéj matki i daj mi co przekąsić, bom szalenie głodny.

Stanęło tedy na tem, że Roger był kuzynem Gilberty. Istniało w rzeczy samej jakieś tam dalekie pomiędzy niemi pokrewieństwo, ale raczej już tylko z podania o tem wiedziano w obu rodzinach, niżby to dowieść umiano. Panna de Villepreux tańczyła wiele z Rogerem na wieczorze wydanym przez jego babkę, i rozmawiając z nim starała się lepiej go poznać. Był to chłopak otwartej i wesołej natury, po której ześlizgiwała się szybko wszelka troska, tak jak zbiega kropla wody z gładkiego liścia kamelii. Nie brakło mu wykształcenia, ani też zamiłowania do sztuki w każdej jej formie, nawet przy bliższem poznaniu, można w nim było odkryć obfity zasób wiadomości zadziwiających u człowieka, którego jedynem hasłem zdawała się być uciecha i zabawa. W rzeczy samej, rzecby można, że niby zaklęciem jakiejś wróżki złośliwej wyrzeczonem nad jego kołyską, wszystkie przymioty jakiemi został hojnie obdarzony, wiecznie mu się na nic nie miały przydawać. W wewnętrznym jego ustroju, brakło wyraźnie jakiegoś pierwiastku bez którego wszystko marniało. Nieraz już, zdarzała się Rogerowi sposobność wyrobienia sobie korzystnego w świecie stanowiska, nigdy z niej wszakże skorzystać nie umiał, czy to z braku zręczności, czy też odwagi. Stały w przyjaźni gdy go ona wiązała z ludźmi prześladowanemi od losu, nie umiał a może też z umysłu nie chciał korzystać ze stosunków, mogących mu być pomocą. Smiały, prawy, nawet w pewnym stopniu, rozważny, zdanie miewał często trafne, niekiedy pouczające, czegóż mu więc brakło aby wszystko zużytkować co w nim było dobrego. Czego? może właśnie jednej wady tylko. Tak przynajmniej twierdziła jego babka, dowodząc że miłość własna i zarozumiałość wiele więcej przynoszą korzyści od najpiękniejszych przymiotów ukrywających się w cieniu. W istocie, Roger nie rad był zwracać na siebie uwagę; usposobienie to dodawało mu pewnego wdzięku, odejmując wszelako bodźca zkądinąd tak potrzebnego.

W chwili gdy poznajemy Rogera, kończył dwudziesty piąty rok życia, chociaż daleko młodszym się wydawał. Żywa i wzajemna sympatya pojawiła się niebawem pomiędzy nim i Gilbertą. Wszystko im było powodem do coraz częstszych spotkań, do coraz dłuższych rozmów, w których rozwaga i delikatność uczucia Gilberty, zapewniały jej zawsze kierunek, pomimo że młodszą była od Rogera. Prowadziła myśli jego według woli swojej, a po długiej pogadance o najrozmaitszych przedmiotach, zlepiała główne żywioły rozmowy, rozbierała je wyciągała z nich treść pouczającą i rozpatrując się w niej, nieraz loicznemi wywodami dochodziła od rzeczy znanych aż do nieznanych. Nadzwyczajna przenikliwość cechowała jej umysł. Było to w niej jakby światło, za pomocą którego w jednem słowie odrywała całą wewnętrzną wartość człowieka, lub też ogarniała jakie położenie we wszystkich jego szczegółach. Z tem wszystkiem pewne ciemności których wzrok jej przeniknąć nie umiał, dowodziły jej że istniały w życiu rzeczy dla niej całkiem nieznane. Przeświadczenie to napełniało ją nieraz niepokojem. Doświadczała wrażeń żeglarza, który po za mgłą otaczającą jego łódkę, odgaduje gdzieś przed sobą lądy jakieś tajemnicze. Teraz już, matka przewidując chwilę wydania jej za mąż, poczynała rozszerzać zakres swych stosunków i przyjmowała zaproszenia odbierane z sąsiedztwa. Zamek la Marnière bardziej także bywał obecnie odwiedzanym; ztąd miewała często Gilberta sposobność poznawania coraz nowych osób i robić w myśli różne zestawienia i porównania. Zawsze jednak czuła że nie jedno jej się wymyka. Poglądy jej i wewnętrzna istota sprawiały na niej samej wrażenie krajobrazu, w części światłem zalanego, w części tonącego w cieniu. Tam, pragnęła koniecznie choć wzrokiem się dostać....

Pobyt Rogera w zamku la Gerboise przedłużał się coraz bardziej. Chwilami jednak młodzieniec stawał się posępny, i wtedy milczeniem zbywał zapytania Gilberty. Uważała że chmurne to usposobienie pojawiało się po odebraniu listów z Paryża. Cóż tam w nich być mogło i kto je pisywał? Przelotne owe smutki w które znagła zapadał Roger, wydawały się Gilbercie niby płatkiem śniegu zapadłym na rozkwitłą bzu gałązkę. Trwały krótko, ale dopóki trwały, nie wiedziała sama co zrobić żeby je przerwać. Czasem pani de Varèze przywoływała ją na pomoc w podobnych razach.

— Połaj że go moje dziecię, mówiła, wytłomacz mu że od niego samego zależy stworzyć tu sobie raj zapełniony szczęściem. Wszakże ciebie jednej on słucha.

Gilberta zabierała się z chęcią do pracy, ale Roger odpowiadał jej tylko milczeniem, wreszcie gdy mówić przestała, szeptał nieraz z westchnieniem: Ach, gdybyś ty wiedziała.

W istocie—ona nic nie wiedziała, i to właśnie w rozpacz ją wprawiało.

Nie umiała nic odgadnąć, ale rozmowy te z młodzieńcem wychodzącym z gwaru i z zamętu życia paryzkiego, przedzierały nieraz miejscami, niby burzliwego wiatru podmuchy, mgły pośród których krążyły zaciekawione jéj myśli rozmarzone.

Pewnego wieczoru ktoś czytając głośno gazetę u pani de Varèze, gdzie Gilberta znajdowała się z matką, natrafił na opis zdarzenia wielce w téj chwili rozgłośnego w bawiącym się świecie paryzkim. Młody człowiek przystojny i bogaty, odebrał sobie życie wystrzałem z pistoletu, w wytwornéj restauracji podczas wesołéj kolacji.

— Co nas to może obchodzić? przerwała czytającemu gospodyni domu,—opuść ten ustęp. Po tych słowach nastała chwila milczenia i Gilberta spostrzegła, że wszystkie spojrzenia ku niéj się zwróciły. Spojrzała na matkę — twarz jéj była bladą przeraźliwie. Błyskiem ujrzała w myśli postać owego człowieka w podróżnem ubraniu, który ją żegnał podniósłszy od ziemi, i dreszcz przebiegł jéj członki. Więc takim był jego koniec, rzekła do siebie.

Wróciwszy do domu, Gilberta odprowadziła matkę do jéj pokoju, i tam rzekła do niéj ze wzruszeniem.

— Czemużeś zataiła przedemną, droga matko, że ojciec zakończył życie samobójstwem? Daruj mi boleść jaką ci sprawiam dotykając tego straszliwego wspomnienia, dodała z żywością widząc nagłą zmianę rysów pani de Villepreux. Rozumiem aż nadto, iż rana podobna dotąd się w tobie nie zagoiła, ale czyliż i mnie nie potrzeba wiedzieć o wszystkiem?

Patrzałam na łzy twoje, na długie lata osamotnienia, matko kochana. Powiedz, że mi jakim sposobem, oswobodziwszy się ze wszelkich więzów, znalazł on wreszcie i w tych warunkach życie za ciężkiem?

— Czyś się dobrze zastanowiła nad tem czego żądasz odemnie, Gilberto? rzekła pani de Villepreux z wyrazem wahania się na twarzy. Wymagasz spowiedzi, która pociągnęłaby za sobą wyjaśnienia prawie niemożliwe.

— Wysłałaś mię do Niederbrühle, matko, jak to sama przyznajesz, dla wyrobienia we mnie mocy duszy zdolnéj dotrwać twardym życia warunkom, ale czyliż nie czujesz, że w owem tak rozważnie prowadzonem wychowaniu, którego pożytek już rozpoznawać poczynam, istniał jednak dotąd pewien brak który koniecznie wypada zapełnić? Wykształcono starannie mój umysł, dodano mu siły i rozwagi mądrze obmyślonym kierunkiem, z tém wszystkiem cóż wiem dotąd o prawach rządzących owym światem, w który, poszedłszy za mąż, zostanę rzuconą? Czyliż mię cokolwiek powiedziano o jego burzach i niebezpieczeństwach? Skutki ich widziałam pod rodzinnym dachem, ale powody dotąd mi są nieznane. Jeżliż mię uzbroić chciała do walki, droga matko, aby mię ona bezsilną—jak niegdyś ciebie—nie zastała, dokończ twego dzieła ukazując mi rafy o które twoje szczęście się rozbiło; tym sposobem może je ominąć potrafię. Wszakże przedewszystkiem pole bitwy znać musi walczący.

— Niechże się więc stanie według woli twojéj Gilberto. Dowiesz się o wszystkiem. Przebacz mi jeźli z opowiadania mojego wyniknąć musi nagana dla pamięci człowieka, którego nosisz nazwisko. Bóg widzi że mając ciebie, potrafiłam wszystko przebaczyć, ale skoro żądasz odemnie prawdy, winnam ci ją w zupełności.

Wtedy, trzymając w dłoniach rękę córki, pani de Villepreux opowiedziala jéj w jaki sposób została za mąż wydaną. Ubóstwiana przez matkę, kobietę dobrą, lecz zbyt egzaltowaną dosyć majętną i otoczona pieszczotą, nie pojmowała życia bez szczęścia, ani łez szczęścia bez miłości. Miała lat ośmnaście, kiedy jéj przedstawiono pana de Villepreux: był młodym i powabnym, zdawał się ją kochać, poszła tedy z chęcią za niego. Pełna najlepszych nadziei co do przyszłości, zachowała swe złudzenia przez czas jakiś, jakkolwiek wkrótce już po ślubie, nie jedno w domowem pożyciu całkiem się jéj nieprzewidzianem zdawało i przykre w niéj budziło zdziwienie. Zostawszy matką, musiała wreszcie otworzyć oczy na rzeczywistość. Mąż jéj wrócił najzupełniéj do dawnych nawyknień; nie mieszkał nawet w domu zajmowanym przez żonę, coraz mu bowiem większéj potrzeba było swobody. Zmarnowawszy w zbytkach i w nierozważnych spekulacjach własny majątek, napoczął wkrótce mienie żony. Ta ostatnia podpisywała zrazu wszystko czego żądał; po pewnym jednak czasie idąc za poradą dawnego przyjaciela jéj rodziny, stawiła opór woli męża. Ztąd wynikły starcia, które wyjaśniły dla niéj położenie dotąd w części tylko odgadnięte.

(d. c. n.)

FAYUM, SINAÏ I PETRA

PODRÓŻ

DO ŚRODKOWEGO EGIPTU I ARABJI SKALISTÉJ

ODBYTA PRZEZ

SŁYNNEGO ARTYSTĘ MALARZA GÉROME

ORAZ

JEGO TOWARZYSZY I UCZNIÓW

STRESZCZONA

przez **Joannę Belejowską.**

(Dalszy ciąg.)

III.

Osły!... panowie!... osły!

Oto okrzyk, który rozległ się o nasze uszy i aniśmy się spostrzegli, jak siedzieliśmy na osłach i pędzili gdzieś w nieznanym nam kierunku, wiadomym tylko czasowemu naszemu drogmanowi, Adha—Anna.

Szmalak! Yeminak! Reglak! krzyczeli na wyścigi nasi przewodnicy; na całéj drodze był piekielny hałas i gwar taki, że niepodobna nam było słowa do siebie powiedzieć, przewodnicy cieszyli się naszem zadziwieniem i jakby oszołomieniem, a chcąc zjednać sobie nasze względy, nieustannie uderzali osły aby biegły prędzéj. Nareszcie minęliśmy *Szubra* a natłok jeźdców, wielbłądów, powozów i przechodniów, zaczął się nieco zmniejszać.

Co chwila mijały nas ogromne powozy od jednego do ośmiu resorów, poprzedzone lauframi w bogatym stroju; w téj najarystokratyczniejszéj części miasta, zarząd edyla zabronił dostępu wielbłądom, gdyż ich pochód jakby processionalny nadzwyczaj zawala ulice...

Dostaliśmy się nareszcie na *Ezbekych*, śliczna ta dzielnica zastępuje tu paryzki bulwar włoski, zwolniliśmy biegu aby lepiéj przypatrzeć się miejscowości.

W Kairze, jak w ogóle na Wschodzie, osioł wielką odgrywa rolę;—nie tylko staje się najlepszym naszym przyjacielem, ale poniekąd zastępuje obuwie, które prawdę mówiąc, jeśli się tu podrze, to chyba od częstego ściągania i stawiania pod łóżkiem. Zawsze na ośle, koniu lub wielbłądzie, cóż to za oszczędzenie podeszew. Podczas całego pobytu w prowincji Fayum, prawie nie rozłączałem się z osłem, a w pustyniach Sinai i Petra z wielbłądem.

Nazajutrz rano wszyscy wstaliśmy o czwartéj, i wsiadłszy na egipskie osiołki, puściliśmy się na miasto nauczeni wczorajszą wycieczką, że na ulicach właśnie znajdziemy wszystko co tylko tu jest godnego widzenia.

Dom nasz stał prawie na rogu *Muski*, tu zaraz czekało nas wiele dziwnych rzeczy i niespodzianek.

Przedewszystkiem pamiętać trzeba, że Kair więcéj jest stolicą Egiptu, niż każda stolica innego kraju. Paryż, Londyn, Wiedeń, są wielkiemi miastami, ale tylko miastami, Kair zaś jest sam w sobie całą prowincją, całym oddzielnym światem. To cały Wschód przeszły, obecny i przyszły, tak zupełny jak w epoce Mameluków, tak świetny jak w czasach największéj swojéj potęgi, tak malowniczy jak za kalifów. Kto po trzechletnim pobycie w Kairze, sądziłby że poznał go dobrze, bardzoby się mylił i ja więc ukażę go wam tylko jak w kalejdoskopie.

Przejechać całe Muski, po różnych zwrotach i zakrętach bramą *Bab-el-Nasr* dojechać do *Doliny Grobów*, oto plan ułożony na pierwszy dzień pobytu w Kairze. Dostaliśmy się na Wschód najpiękniejszą ulicą Kairu, wyjeżdżaliśmy z miasta najpiękniejszą bramą i mieliśmy oglądać najpiękniejsze pomniki tegoczesnego Egiptu. Wyraźnie Mahomet miał nas w swéj opiece, a jeśli to był fatalizm, to przynajmniéj bardzo rozumny.

Muski, jest jedną z najgłówniejszych i najwięcéj ożywionych ulic Kairu, jest nadzwyczaj długa i zawiera niezliczoną liczbę sklepów, zapchanych najprzeróżniejszemi towarami. Znajdziesz tu jatki, kawiarnie, fryzerów, majstrów papuci, antykwarjuszów, nareszcie kuchnie pod gołem niebem, a wszystko to pomięszane w najdziwaczniejszy sposób i w najniestosowniejszem sąsiedztwie.

Wszystkie towary poukładane są w wielkich otwartych skrzyniach, na pół wysuniętych na ulicę, dla zwabienia kupujących. Tym sposobem ci tysiąc i jeden Ali-Babów, wkładając, że tak powiem, przechodniom swe towary w ręce, prawie zmuszają ich do kupowania. Od starego żyda w okularach, który każe się dużo prosić za nim namyśli się okazać różne szczątki starożytności poukrywane w tajemniczych skrzyneczkach, do ostatniego majstra obuwia, dla którego but z elastyką jest najwyższem stopniem cywilizacji, wszystkim tu zdaje się że spełniają jakiś rodzaj wielkiego posłannictwa. Jakby kapłani z namaszczeniem pełniący swe obowiązki, z takiem przejęciem milcząc z religijną powagą zajmują się swojem kramarstwem. Upatrzywszy sobie jakiś przedmiot, wskazuje go się jedną ręką, a w drugiéj pokazuje się pieniądze jakie zapłacić zamierzamy. Zwykle ofiaruje się połowę żądanéj ceny, poczem należy wyjść ze sklepu z powagą człowieka znającego się na rzeczy i nie myślącego przepłacać, wtedy kupiec zatrzymuje cię prawie niedostrzeżonem skinieniem, decyduje się nareszcie odłożyć fajkę i biorąc pieniądze oddaje towar z tak bolesnym jękiem, jakby matka któréj wydzierają ukochane dziecię.

Jeśli zaofiarujesz cenę zbyt nizką, wtedy właściciel okazuje bezmierną boleść, objawiającą się głównie wykrzywianiem i cmokaniem, jak smakosz probujący wina, i z płaczliwą miną odsuwa towar. *La! la! la! mofich*, cedzi przez zęby nie wypuszczając fajki z ust, gdyż w Kairze żaden kupiec szanujący swoją godność, ani na chwilę z nią się nie rozłącza.

Nareszcie dojechaliśmy do końca Muski, olśnieni wszystkiem cośmy widzieli. Tłok i zamięszanie panujące na ulicach Kairu, budzi w nowo przybyłych jakieś uczucie trwogi; w pierwszych chwilach mimowolnie o tém tylko myślimy, aby uniknąć jakiegoś wypadku. Wrażenie to potęguje jeszcze obojętność przechodniów na ostrzegające okrzyki oślarzy i laufrów. *Szmalak! Yeminak! Reglak!* powtarzane nieustannie na wszystkie tony, tworzy tak ogłuszającą całość, iż odurzeni tym piekielnym koncertem przechodnie biegną na oślep, ufni jedynie w opiekę Mahometa.

Ta obojętność tłumów, te dzieci i psy leżące i uwijające się w pośród natłoku powozów, wielbłądów i osłów, wydaje się jakby fac—simile raju Mahometa i tych rozkosznych krain, obiecanych przez Proroka wiernym swoim wyznawcom, gdzie tygrysy i gazele igrają wspólnie w lesie palm cukrowych, i gdzie każdy wierny posiadać będzie co najmniéj trzysta fajek, almeje à *discretion* i zapas tytuniu na wieczność całą.

Przebywszy nieskończoną liczbę ulic, uliczek i zaułków, dostaliśmy się nareszcie do bramy Babel—Nasr czyli bramy Zwycięztwa, niemniéj szczęśliwi i dumni jak Napoleon I. w dniu 29 lipca 1798 r., kiedy nazajutrz po bitwie pod Piramidami, wjeżdżał na czarnym rumaku, podarowanym mu przez radę municypalną. *Bab-el-Nasr* (nazwa arabska) jest najpiękniejszą z 71 bram strzegących murów Kairu; odznacza się pięknością architektury i bogactwem wspomnień historycznych. Po bokach strzegą jéj dwie czterokątne wieżyce, nadające jéj poważną i wdzięczną postać zarazem przez swe kolosalne rozmiary i ozdobne rzeźby.

Dwoje drzwi opancerzone żelazem bronią przystępu do téj obronnéj budowy, noszącéj widoczne ślady dawnych uzbrojeń. Pod sklepieniem stoi warta, wyraźnie jakby dla ozdoby lub przyjemności i wygody podróżujących malarzy, gdyż ubiory ich są bardzo okazałe i świetne, ale żadnéj pomocy miastu daćby nie mogli, bo gdyby nawet poczet ich był trzy razy liczniejszy, niezdołaliby zachwiać choćby jednéj połowy tych drzwi olbrzymich.

Po za miastem napotykaliśmy niezliczone tłumy mężczyzn, kobiet i dzieci krzyczących i bawiących się wesoło, a ich wrzaski i taniec dziwną stawiały sprzeczność z poważnem milczeniem przechodniów napotykanych po ulicach. Powodem tego tłumnego i krzykliwego zgromadzenia za obrębem miasta, najróżnorodniejszych ubiorów i typów była uroczystość religijno-narodowa, zwana *Bairam*. Niektórzy z przybyłych przybywali bardzo zdaleka,—co ich tu sprowadzało, czy gorliwość religijna czy chęć zabawy?—łatwo odgadnąć.

Na wielkim placu leżącym wprost bramy Zwycięztwa, ustawiono ogromne huśtawki, których urządzanie nie obudzało zbyt wielkiéj ufności. Ogromne drewniane konie nieustannie kręciły się w koło unosząc mnóstwo dzieci różnego wieku a nawet i mężczyzn dorosłych, traktujących się tą uciechą z pobożności czyli raczéj z fanatyzmu.

Uroczystość Bairamu daje pozór do tych patryarchalnych uciech. Co krok spostrzegasz jaką zabawną scenę z życia rodzinnego; tu jakiś tata lub mama kupuje dla swego bębna jakąś zabawkę; tam przymierza mu trzewiczki zazwyczaj za duże; tu znów rozdziela cukierki bardzo podejrzanéj wartości, kupione u miejscowego pajaco. Tu i owdzie Arabowie pokazują łamane sztuki, wyginając się i krzywiąc nie raz bardzo oryginalnie.

Tu po raz pierwszy zobaczyliśmy jednego z owych okrzyczanych błaznów Wschodu; cały strój jego składał się z kapelusza i postronka przewiązanego w pasie, robił miny i gesta tak cyniczne i wstrętne, iż z odrazą odwracaliśmy oczy.

Nieco opodal, zwrócił naszą uwagę poważny starzec, z długą siwą brodą, który wraz może z dwunastoletnią córeczką, dawał przedstawienie składające się z kilku obrazów. Zajmowały nas naiwne ruchy dziewczynki. Starzec udawał chorego, ona go pielęgnowała; powoli starania jéj przywracały mu zdrowie, i wtedy oboje zaczynali tańczyć z radości, przy dźwięku jakiejś muzyki, szczęściem bardzo cichéj.

W Egipcie wszelkie uroczystości religijne odbywają się równie gwarno i wrzaskliwie; huśtawki ustawione są na cześć Najwyższego, a karuzele kręcą się szalenie na większą chwałę Jego Proroka.

Napatrzywszy się pobożnym zabawom, zwróciliśmy się na szeroką piaszczystą drogę, po prawéj stronie któréj leżały stosy gruzów i najróżnorodniejszych szczątków, nagromadzonych od lat wielu. Po lewéj stronie, jak okiem dojrzeć można, ciągnął się cmentarz grzebalny, prawdziwy las grobów pobielonych wapnem. Każda mogiła pokryta jest szeroką płytą, wspartą na podstawie o dwóch lub najwięcéj trzech stopniach. Środek nagrobka stanowi wielki kamień wyciosany w kształcie oślego grzbietu; z je-

dnéj strony wznosi się słupek lub kamień podłużny: rzeźbiony przez całą długość mniéj lub więcéj bogato, stosownie do stanowiska osoby, lub też majątku pozostałych krewnych. Na jednym końcu kamienia wyrzynają turban zmarłego, z marmuru lub podrzędniejszego kamienia, odnośnie do znaczenia zmarłego.

Kształt tych nagrobków i liczne zdobiące je turbany, nadawały temu ogromnemu cmentarzowi dziwną jakąś postać; zdala wyglądał jak ogromna kręgielnia lub wojsko uszykowane do boju i skamieniałe w jednéj chwili.

Na niektórych nieco staranniéj utrzymywanych grobach, widzieliśmy resztki palm i różne *ex vota*.

Tu i owdzie siedziały kobiety pochylone i owinięte w długie błękitne zasłony, lecz ich nienaturalne jęki i metodyczne kiwanie, dziką jakąś nadawały cechę tym wyznaczonym oznakom żalu i żałoby. Niektóre siedziały z pochyloną głową, inne, jak długie wyciągnęły się na płytach grobowych, i rozpoczynały rozmowę z umarłymi.

Zapytałem Drogmana naszego o czem rozmawiają te panie, podaję jego odpowiedź.

Zazwyczaj zapytania są zawsze mniéj więcéj téj natury:

— Czy Bóg jest wszechpotężnym?
— Czy go oglądasz?
— Czy dobrze ci w niebie?
— Czekaj tam na mnie?
— Czy słyszysz słowa moje?

Pytania te bywają powtarzane do nieskończoności, gdyż zazwyczaj umarli nie chcą zdradzać odnoszących się do nich tajemnic.

Niekiedy całe rodziny zgromadzają się około mogił, stawiają sobie po nad niemi namioty i dzieci igrają wesoło, kobiety płaczą a mężczyźni pozwalają sobie czasami takiéj poufałości ze zmarłymi, iż przyrządzają i piją kawę na ich mogiłach niby toasty za ich zdrowie.

Po długiem kołowaniu pomiędzy piaszczystemi wzgórzami otaczającemi cytadellę, nagle skręciliśmy na prawo i wspaniały krajobraz Wschodu roztoczył się przed nami. Ujrzeliśmy ztąd w całości miasto kalifów tak niewłaściwie nazwane *Doliną Grobów*. Piękne jego minarety i kopuły ugrupowały się tak oryginalnie, jakby w najumiejętniéj obmyślanéj dekoracji teatralnéj.

Niezliczona liczba jakby tuż obok siebie nagromadzonych pomników, dzięki doskonałéj perspektywie, dawała nam objąć jednym rzutem oka całą rozmaitość ich rozmiarów oraz wykwintność ich saraceńskiéj architektury. Owe podłużne kopuły kształtem swym przypominające perskie, piękne minarety których każde piętro jest arcydziełem rzeźby i zdobiące je złocone pół-księżyce, nareszcie szczątki fajansu dające się jeszcze dostrzegać w pośród marmurowych arabesek,—wszystko to przenosiło nas myślą do starożytnego świata i zdawało nam się, iż lada chwila na zakręcie któréj z tych starodawnych ulic, ujrzymy Saladyna jadącego na wspaniałym słoniu.

Wszystko tu składa się na zbudzenie niewysłowionego, religijnego prawie wrażenia. Samotność opuszczonych prawie meczetów, dzika powierzchowność otaczających je glinianych domów, i same nawet typy nielicznych mieszkańców, wszystko to uprzytomnia w myśli ową świetną epokę muzułmańską, w któréj powstały najpiękniejsze arcydzieła sztuki bizantyńskiéj.

Postanowiliśmy obejrzeć najpierw starożytny meczet *El-Achraf*, który pomimo wewnętrznéj ruiny, nadzwyczaj zajmującą przedstawia całość. Mała, cudnie rzeźbiona ambona z któréj czytają koran, kryjąca się w rogu głównéj sali, przechowała się prawie nienaruszenie. Na wysokość kilka metrów, mury meczetu pokryte są inkrustacją i najcudniejszemi mozajkami, które mogłyby ozdobić najkosztowniejsze klejnoty. Po nad niemi zachowały się dobrze piękne malowidła, odznaczające się bardzo poprawnym rysunkiem.

W stronie zwróconéj ku Mekce, zrobione jest nie wielkie, śpiczastą arkadą zakończone zagłębienie,— tu gromadzą się najkosztowniejsze ozdoby, jest to miejsce przed którem szeik meczetu odbywa płaczliwe i jednotonne swoje modlitwy. Po prawéj stronie tego sanktuaryum mieści się ambona, ołtarza nie ma wcale, miejsce jego zajmuje ogromna ilość lamp i napisów. Po obu stronach stoją jakby na straży dwa olbrzymie lichtarze miedziane, dźwigające kolosalniejsze jeszcze świece.

Zsiadłszy z osłów przed drzwiami meczetu, musieliśmy zastosować się do przepisów, zabraniających obuwiu towarzyszyć właścicielom swoim do miejsc świętych. Trudno sobie wystawić jak pociesznie wyglądały nasze buty stojące rzędem na wschodach jak żołnierze na warcie, zdało się że krzywo spoglądają na nas, jakby zazdroszcząc uprzywilejowanego stanowiska.

Opuszczając *El-Achraf* złożyliśmy obowiązujący *babszis* dla szeika pełniącego obowiązki strażnika meczetu, i udaliśmy się do meczetu *El-Barkuk*.

Widok oczekujących na nas osłów, ściągnął tłumy nędzarzy kryjących się w tych ruinach, i ani szturchańce ani ciężkie razy naszych oślarzy nie zdołały ich odpędzić, tak uporczywie czekali na *parasy* miedziane jakie rzucaliśmy im jako jałmużnę pod pozorem *bakszis'u*. Bo wiedzieć trzeba, że *bakszis* nie ma oznaczać jałmużny, gdyż ta upokarzałaby Araba; nie, to podarek czyli pamiątka, którą niby obdarzają się całkiem równi sobie, i wzajemnie szanujący się dostojnicy. Podróżujący na Wschodzie mogą prawie zrujnować się na *bakszis*, gdyż jeśli zechcą być bardzo hojni, wydatek ten może dwa lub trzykroć razy przewyższyć koszta podróży.

Meczet *El-Barkuk*, choć z późniejszéj epoki, jest jeszcze wspanialszy niż *El-Achra*. Główne wejście osłonione jest krytą galerją, schody marmurowe i piękne porfirowe kolumny malowniczą tworzą całość. Widać zbytkowne te ozdoby, rozrzucała tu ręka biegłego budowniczego, gdyż bogactwo to nie jest prostem nagromadzeniem kosztownych materjałów jaskrawych barw, jak późniejsze pomniki religii mahometańskiéj.

Wracaliśmy do miasta około grobów mameluków. Grobowe te pomniki wznoszą się obok doliny kalifów i bynajmniéj nie psują harmonji fantastycznego tego krajobrazu. Grobowce te wspierające się o górę *Mokattam* tworzącą jakby tło uroczego obrazu, leżą jeden koło drugiego, przysłonione kamiennemi katafalkami i rzeźbioną boazerią, przypominającą budowle w Erzerum i w Mossul, może więc były dziełem artystów perskich lub przynajmniéj powierzono tymże ich przyozdobienie.

Wróciliśmy do Kairu przez bramę *Bab-el karafah* jechaliśmy z kolei przez plac *Karameidan*, (rodzaj placu marsowego) i przez plac *Boumeileh* (targ koński) należący do cytadelli Mehemeta—Alego. Było już około szóstéj; trzeba więc było wracać na obiad, gdyż pomimo tego iż byliśmy nasyceni uwielbianiem cudów przyrody i sztuki, głód nam się dawał uczuć.

Nazajutrz rano udałem się z jednym z towarzyszów w kierunku meczetu *Amru*, obaj zabraliśmy pędzle i farby, aby przenieść na papier napotykane cuda i osobliwości.

Fundatorem tęgo pomnika miał być niejaki Amru jenerał Kalifa Omara, powszechnie utrzymują, że jest to najpierwszy meczet muzułmański wzniesiony w Kairze. Styl budowli zgadza się z tem twierdzeniem.

Tak więc *Gam'a Amru* wzniesiony w 640 roku naszéj ery, (po zdobyciu przez Arabów, jest powszechnie uważany za kolebkę islamizmu w Egipcie. Leży na wschód współczesnego sobie starego Kairu, otoczony stosami gruzów, tych bezkształtnych szczątków miasta, którego zapewnie najpiękniejszą był ozdobą.

Powierzchnia, na któréj wznosił się ten wspaniały zabytek architektury, tworzy doskonały czworokąt, w którym naliczyliśmy dwieście trzydzieści kolumn marmurowych. Obok widać olbrzymi dziedziniec a na nim sadzawkę w któréj wierni odbywają ablucje niezbędne przed rozpoczęciem modlitwy.

Uświęcona ta sadzawka mieści się w ośmiokątnym pawilonie obok którego wznosi się przepyszne drzewo palmowe, niby szyldwach od wieków strzegący świętego miejsca. Bacznie rozpatrywaliśmy się tym ruinom, których wszystkie, najdrobniejsze szczegóły, zachowają na sobie cechę i prostotę pierwotnéj sztuki arabskiéj, z całym otaczającym ją urokiem.

Prawie po nad głównem wejściem wznosi się wysoko, piękny minaret zdala uprzedzający o obecności pomnika, który inaczéj można by minąć niepostrzeżony, tak przysypany jest gruzami dawnego miasta i naniesionemi wiatrem górami piasku.

Sześć rzędów kolumn podtrzymuje dawne *mirkal* zwrócone ku Mekce, ale zupełnie już zniszczone, równie jak *Menber* (kazalnica) wyrzeźbiony z drzewa i tak troskliwie pielęgnowany w innych meczetach.

Na jednéj z kolumn znajduje się wyraźnie biała rysa powstała jakby od uderzenia, a legenda czy tradycja twierdzi, że bliznę tę spowodowało uderzenie szpicruty Kalifa Omara.

Pod perystylem dziedzińca, nieco na prawo ku drzwiom, znajdują się dwie małe marmurowe kolumny, wyrobione z jednéj sztuki i połączone z sobą kapitelami i ozdobami podstawy. Nadzwyczaj mała przestrzeń oddziela je od siebie, a pobożna legenda arabska nadaje im cudowną własność przedłużania życia tych, co zdołają przesunąć się między niemi bez złamania żebra.

Wielu z nas, dzięki smagłéj i szczupłéj budowie prześliznęło się jak listy rzucone w pudełko pocztowe, i tym sposobem z łatwością zdobyliśmy patent długowieczności. Ale jeden z współtowarzyszy, *nieco zapiekły*, z tak wielką trudnością zdołał zaledwie przepchnąć się przez otwór, iż baliśmy się, że „gmach cały zwali i zginie pod gmachem".

Przeszedł nareszcie, — ale trudno powiedzieć co go to kosztowało!...

W innem znów miejscu, zapewniliśmy sobie szczęście wiekuiste, przechodząc z zawiązanemi oczami kilka metrów, w końcu których dotykaliśmy się czarnéj, bogato inkrustowanéj, w mur osadzonéj tabliczki. Lecz, że wszyscy dochodziliśmy bardzo prędko i trafialiśmy w sam środek cudownéj tarczy Arabowie mieli nas w podejrzeniu o podejście lub złą wiarę.

Najwięcéj nas bawiło niezachwiane, fanatyczne prawie przekonanie szeika o prawdziwości tych śmiesznych legend. Nasłuchaliśmy się od niego niezliczonych pochwał i grzeczności, bo widząc z jakim zapałem poddawaliśmy się tym próbom, liczył zapewnie, że poznamy nasze błędy i, nawróceni, przyjmiemy islamizm. Nareszcie pożegnaliśmy go po licznych *salamalekah* i liczniejszych jeszcze *bakszisah*. (d. c. n.)

Dalszy ciąg opisu N. 23.

N. 36. Opis w dodatku do N. 22.

N. 37. Majtki do ubrania domowego.

dla dziecka od 1—3 lat. Krój fig. 77—79.

Dymka lub barchan są najstosowniejszym materjałem, na majtki ze stanikiem i rękawami. Garnirunek stanowią ząbki dziergane na perkalu lub z tasiemeczki albo wązka szydełkowa koroneczka.

N. 38 i 39. Szlafroczek ranny dla dzieci do 2 lat.

Krój fig. 46. Połowa pleców i przód.

Plecy i przody szlafroczka z szyrtyngu w paski, krają się jednakowo. Fig. 46 podaje tylko górną część formy, którą podług miary przedłużyć trzeba. Na wzorze przody mają 60 cent., plecy 61 cent. długości, boki zaś od przecięcia w pasie 38 cent. Boki rozszerzone są w ten sposób kliniasto, iż przody mają u dołu 42, a połowa pleców 37 cent. szerokości. Części stanu stębnują się podług oznaczenia liczb ze sobą, fałdy zaszywają od spodu, a z wierzchu mocują stębnowanym paskiem. Rękawy przykrojone podług fig. 8 przyozdobione są równie jak wykrój szyi, wązkim haftowanym szlaczkiem. Forma ta użytą być może do vêtement w takim razie dodaje się pasek, i wyszycie z sutaszu, podług wzoru ryc. 39.

N. 40. Opis w dodatku do N. 22.

N. 41. Krawatowa kokarda dla chłopczyka,

Kokarda z materji kolorowéj w białe punkciki, składa się z dwóch spiczasto ściętych końców i dwóch kokard przepiętych węzłem, przymocowanych do foremki.

N. 42, 43, 44, 45 i 46. Opisy w dodatku do N. 22.

N 47—48. Sukienka z tuniką i stanikiem z baskiną dla dziewczynki od lat 8—10.

Dwie sukienki jednego fasonu z odmiennym garnirunkiem podajemy z przodu i z tyłu.

Okrągła, z boków podpinana tunika i stanik z baskiną, z przodu nakształt kaftaniczka przedłużony, odrobione z czarnego lub popielatego materjału, stanowić będą zwierzchnie ubranie, mogące służyć do każdéj sukni. Formę stanika dopasować można podług podanéj do ryc. 45 i 46 w N. 18 Tygodnika. Wązkie rękawki zakończone są szeroką falbaną. Tunika zapinana z tyłu, ma bryt przedni nieco zaokrąglony, w środku 42 z boków 36½ cent. długi, u góry 30 u dołu 75 cent. szeroki. Dwa tylne kliniasto ścięte bryty, są w środku 77, z boków 38 cent. długie, w górze 36 c. u dołu 60 cent. szerokie i trochę zaokrąglone, ku górze zaś przyfałdowane i dopiero zaszyte. Na 10 cent. od góry podpina się tunikę za pomocą guzika i pentelki z tego co tunika materjału; przyszycie pentelki przykryte jest guzikiem. Z przodu podana sukienka na ryc. 7 jest z piki, batystu lub muślinu w kolorze écru, garnirunek stanowią plisowane muślinowe falbanki i szlak wyszyty sutaszem białym. Kokardy ze wstążki rypsowéj niebieskiéj. Do gładkiéj spódniczki na ryc. 48 dodana jest tunika i stanik z materji wełnianéj w kolorowe kwiatki, zwanéj Rokoko.

N. 49. Opis w dodatku do N. 22.

N. 50. Kaftaniczek muślinowy z wązkiemi rękawami.

Krój jak do ryc. 20 w N. 22 Tygodnika.

Taki kaftanik może być ukrojony z muślinu lub piki, mieć powinien 24 cent. długości z przodu, a 27 cent. z tyłu. Garnirunek stanowi bufka i wstawka haftowana 2½ cent. szeroka i 2 cent. szeroka koronka.

N. 51. Kaftanik z szerokiemi rękawami.

Haftowana wstawka 3½ cent. szeroka, 1½ cent. szeroki szlaczek, wąziutką koroneczką oszyty i stębnowane listewki, stanowią garnirunek kaftaniczka, w ząb wyciętego z tyłu i zaokrąglonego z przodów.

N. 52. Okrycie z pelerynką.

N. 53 i 54. Pamela pikowa.

Krój fig. 82 i 83.

Pod rondko daje się podszewkę z muślinu, brzeg oszywa drucikiem i zeszywa z tyłu założywszy jedno na drugie. Kółko z batystu mające 27 cent. średnicy, (podszyte w koło listewką i do potrzebnéj wielkości przymarszczone,) stanowi podstawę główki, na któréj umieszcza się ubranie z piki podług fig. 83, przykrojone na kształt gwiazdy; na niem daje się łańcuszkowe lub sznureczkowe wyszycie z grubéj bawełny, a brzegi są gładko oszyte koronką. Na środku gwiazdy wyhaftowana jest rozetka. W zęby wycięty z jednéj strony pasek 5 cent. szeroki, koroneczką oszyty, układa się podług rysunku w koło główki i przepina guzikami piką oszytemi. Na środku z tyłu i z przodu przypięte kokardy, a rondko od spodu podgarnirowane riuszą z tiulu. Gwiazdki i dwu kropki oznaczają miejsce przypięcia szarfek do wiązania.



N. 1—4. Ubrania dla dzieci.

N. 1. Sukienka i kaftanik dla chłopczyka. N. 2. Suknia ze stanikiem pod szyję i tuniką dla małéj panienki. N. 3. Ubranie dla chłopczyka złożone z kurtki i majteczek. N. 4. Ubranie z vêtement i karoczkiem dla panienki. Krój patrz ryc. 32 w N. 19 T. M.

N. 55. Kapelusik okrągły pikowy.

Krój fig. 80—81.

Główka kapelusika z białéj lub niewarowéj piki, kraje się pojedyńczo a rondko podwójnie. Dla sztywności wyszywa się w maszynie ściegiem sznureczkowym grubą bawełną, główkę i rondko wywijane, a następnie mocno gumuje i gładko rozprasowywa. Potem fałduje się główkę i przyszywa do niéj rondko. Przyszycie pokrywa riusza 4 cent szeroka, wązką koronką oszyta, a sutaszem przeszyta. Paski ostębnowane 2 cent. szerokie, splecione we troje, a zakończone kokardą i szarfami, stanowią ubranie główki. Szarfy batystowe służą do wiązania.

N. 56, 57 i 58 Szlaczki do wyszywania.

N. 59. Płaszczyk z pelerynką dla małéj panienki.

Krój jak do ry. 52.

Płaszczyk przykrojony podług zwykłéj formy paletota, ma z przodu 53 z tyłu 60 cent. długości a 150 cent. dolnego obwodu. Pelerynka i rękawy wycięte są w ząbki w maszynie. Popielate atłasowe pliski ⅝ cent. szerokie i arabeski popielatym jedwabnym sznurkiem wyszyte, stanowią garnirunek. Każda arabeska zakończona jest u dołu guzikiem. Peleryna nieprzecinana z tyłu wszyta jest wraz z płaszczykiem w mały stojący kołnierz. Pasek atłasowy 4 cent. szeroki, zapina się na atłasowe guziki.

N. 60. Płaszczyk od deszczu z kapturkiem i karoczkiem dla małéj panienki.

Płaszczyk ten kraje się podług formy podanéj do ry. 21 w N. 22 Tygodnika, dając z przodu 70, z boków 54, a z tyłu 78 cent. długości, szerokości zaś u dołu pleców, 84, z przodów około 58 centymetrów. Garnirunek stanowi frendzla wełniana i prosty szlak ciemniejszy, fabrycznie w sztuce tkany. Bardzo dobrze ubiera płaszczyk karoczek poprzecznie prosto ukrojony i przyszyty do paska, z przodu gładko, a z tyłu w fałdy ułożony. Do kapturka przystrojonego guziczkami podaliśmy formę w N. 5 Tygodnika.

N. 61. Płaszczyk z pelerynką.

Tym samym krojem co poprzedzający, tylko w miejsce kapturka odrobiony z pelerynką, płaszczyk ten ma plisy osobno dodane, z materjału ciemniejszego. Przy rękawach i pelerynce dodany do plisy nagłówek 1¼ cent. szeroki, plisuje się z podwójnie złożonego materjału. Z przodu, w miejscach na rysunku oznaczonych, dodaje się zaokrąglone kieszonki. Guziki z tego co płaszczyk materjału, służą do zapięcia z przodu i do podpinania boków i tyłu.

N. 62—64. Desenie na haft do sukien.

Opis do N. 24.

N. 1. Sukienka z kaftaniczkiem

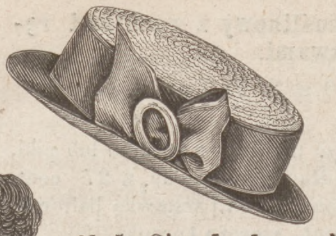
dla małego chłopczyka.

Sukienka z wyciętym stanikiem, krótkiemi rękawkami i szarfą z boku zawiązaną, oraz luźny kaftaniczek i berecik, są z białego kaszmiru. Garnirunek stanowi kolorowa w ząbki tkana pasmanterja, i takiegoż koloru wyszycie sznurem.

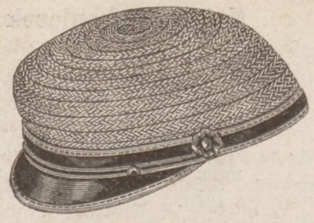
Kaftaniczek rozcinany z tyłu i z boków, kraje się podług formy do ryc. 20 w N. 22 Tygodnika, a wycięty staniczek podług ryc. 24—25 w N. 23.

Spódniczka podszyta muślinem, ma tylko bryt przedni ścięty kliniasto, inne są pro-

ste, w górze w fałdy ułożone. Bryt przedni 36 centym długi, ma u góry 11, u dołu 35 centym. szerokości. Berecik stanowi denko owalne 27 cent. szerokie, 31 cent. długie, pod które daje się lekko podwatowana podszewka, na środku wyszywa się gwiazdę kolorowym sznurem, całe pikuje się w kwadraty, układa w fałdy i wszywa w pasek kaszmirowy 1 i pół cent. szeroki 39 do 40 cent. obwodu mający. Od tegoż paska zachodzi na berecik wyłożenie odstające, 6 cent. szerokie, w spiczaste zęby wycięte, i ząbkami pasmanterji oszyte. Brzegiem w około, berecik ogarnirowany jest riuszą z tiulu, z boku dodana kokarda z białéj wstążki, takież wstążki przyszyć można do wiązania



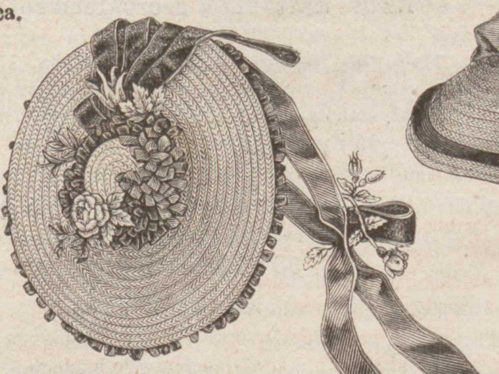
N. 5. Okrągły słomkowy kapelusz dla chłopca.



N. 6. Czapeczka z plecionki nicianéj dla chłopca.



N. 7. Okrągły kapelusz z wysoką główką.



N. 8. Japoński kapelusz podgarnirowany od spodu.



N. 9. Okrągły kapelusz z płaską główką i wyginanem rondem.



N. 10. Kapelusz marynarski.



N. 11. Okrągły kapelusz z wyginanem rondem.

N. 2. Suknia z tiuniką

i karoczkiem dla małéj dziewczynki. Krój stanika i spódnicy podług formy do ryc. 46 w N. 18 Tygodnika

Na podanym przez nas modelu, spódniczka, wyłożenia przy rękawach, i wykładany kołnierz, są z kaszmiru pąsowego a tunika i stanik z czarnego. Wyszycie sutaszem daje się na pąsowem czarne, a na czarnem pąsowe. Czarna wiązana frendzla i pąsowe wypustki, dopełniają garnirunek tuniki, karoczka i rękawów; przy spódnicy nad wyszyciem z sutaszu czarnego, dodana riusza pąsowa, 2 centy: szeroka. Przedni u dołu zaokrąglony bryt tuniki, ma w środku 24, z boków 18 c nty. długości, 42 centy: dolnéj, a 21 górnéj szerokości. eTylny bryt trochę kliniasto ku górze ścięty, ma 31 centy: środkowéj długości, a 114 dolnéj szerokości. Dwa proste kawałki 9 cent. długie, 25 cent. szerokie, od dołu ku przodowi zaokrąglone, stanowią karoczek który układa się w kontrafałdy i razem z tiuniką wszywa do paska.



N. 12. Gorsecikowy stanik z karoczkiem, Patrz ryc. 22 w N. 22 Tyg. Mód.

N. 13. Gorsecik z bretelkami i karoczkiem.



N. 14. Vêtement z peleryną. Patrz N. 15.



N. 15. Tiunika i peleryna. Patrz N. 14.



N. 17. Składany parasolik przyozdobiony haftem lub malowaniem. Zamknięty Patrz N. 18.



N. 16. Parasolik przyozdobiony haftem z rączką z kości słoniowéj. Haft patrz ryc. 22 w N. 25 Tyg. Mód.

N. 18. Składany parasolik przyozdobiony haftem kolorowym lub malowaniem. Otwarty i zgięty. Patrz N. 17.

N. 3. Majtki i kurtka

bluzkowa dla chłopczyka do lat 7.

Tak majtki do kolan jak i bluzka, są z letniego szaro-popielatego materjału. Listwy na przodach bluzki, wyłogi przy rękawach, pasek, kołnierz marynarski, i patki naszyte na majtkach, są z sukna jasno zielonego, objętego i w poprzek naszywanego taśmą popielatą wełnianą, z naszytemi guziczkami stalowemi. Nad kolanem majtki przewleczone i przymarszczone są na elastykę.

N. 4. Vêtement i pasek

z karoczkiem dla dziewczynki. Krój podług formy do ryc. 32 w N. 19 Tygodnika.

Do gładkiéj sukni dodane jest vêtement z alpagi w kolorowy rzucik. Przecinany, do paska przyszyty karoczek, vêtement, i rękawy oszyte są podwójną pliską, koloru przeważnie panującego w rzucie; nad temi pliskami, na kołnierzu i kokardzie lekkie wyszycie sznureczkiem lub sutaszem.

Biały słomkowy kapelusz, ubrany czarną aksamitką i pękiem kwiatów polnych.

N. 5. Kapelusz

słomkowy dla chłopczyka.

Od spodu i wierzchu rondko pokryte jest czarnym lub kolorowym rypsem jedwabnym, główka opasana tak szeroką wstążką, iż ta cały bok pokrywa, że tylko płaskie i szerokie denko pozostaje widoczne. Przy kokardzie przypiętéj z boku, dodana owalna, duża, pozłacana sprzączka.

N. 6. Czapeczka

z konopnéj plecionki dla chłopca.

Przy czapeczce z jasno brązowéj tasiemki, czarny lakierowany daszek, podszyty jest i objęty brązową skórą. Opaska z czarnéj lakierowanéj skóry z brązową wypustką, przypięta z boków czarnemi guziczkami.

N. 7. Okrągły kapelusz

damski z wysoką główką.

Wązkie rondko czarnego włosiennego kapelusza, objęte jest czarnym rypsem; lekko przewijana wstążka i aksamitka czarna 6—7 cent. szeroka, otacza wysoką główkę. Od aksamitnych i rypsowych kokard przypiętych z tyłu spadają końce: aksamitny i rypsowy, pierwszy ma 90, drugi 80 cent. długości, obadwa są złożone w pentlicę. Dwa strusie pióra przypięte z boku, przedzielone są gałązką róż.

N. 8. Kapelusz Japoński

z rondkiem, garnirowanem od spodu.

Maleńka główka otoczona jest wianeczkiem układanym z aksamitki czarnéj $\frac{1}{2}$ cent. szerokiéj, do któréj z przodu ku lewéj stronie, dodana aksamitka różowa, ułożona w sutą rozetę. Z przodu na środku wpięta róża z pączkami. Na kokardy i końce różami przepięte z tyłn, potrzeba 280 cent. aksamitki $2\frac{1}{2}$ cent. szerokiéj. Od spodu podszywa się rondko fałdowaną iluzją, na któréj brzegiem w koło, układa się pukielki 2 cent. długie, naprzemian 3 z aksamitki czarnéj, a 1 z aksamitki różowéj, które w części powinny nad rondko wystawać.

N. 9. Okrąły kapelusz

z płaską główką i wyginanem rondem.

Na dużem wyginanem rondzie, brązowego słomkowego kapelusza, 1 cent. od brzega, naszyta jest w koło brązowa wstążka. Sześć cent. szeroka wstążka i aksamitka brązowa, przekręcana jest około główki i upięta z tyłu w kokardy i końce. W trójkąt przecięty, czarny koronkowy woalik, mający 42 cent. prostego a 72 cent. skośnego brzegu, oszywa się wązką koronką i przypina przy główce z tyłu. Bukiet przypięty z boku, jest z brązowych liści i kwiatów.

N. 10. Kapelusz marynarski.

Koło główki cienkiego, białego, słomkowego kapelusza opasana jest gładko czarna $4\frac{1}{2}$ cent. szeroka wstążka. Na sute kokardy zachodzące na główkę i długie końce spuszczone, bierze się wstążkę 6 cent. szeroką.

Z boku na główce przypięta róża, dopełnia ubranie. Elastyka na guziczek zapinana, przytrzymuje pod warkoczem kapelusz na głowie.

N. 11. Kapelusz

z białéj brukselskiéj słomy, z wygiętem rondkiem.

Biały, w ten sposób wyginany kapelusik, pasuje tylko dla młodziutkich i swieżych twarzyczek. W koło rondka 1 cent. od brzegu, naszyty jest rulonik, z niebieskiego aksamitu.

Pod girlandkę z drobnych białych astrów, ułożoną w koło główki, daje się riusza ze wstążki niebieskiéj 5 cent. szerokiéj, z brzegów obciętéj i na $1\frac{1}{2}$ cent. wysiepanéj. Z téj saméj wstążki upięta jest z tyłu na główce kokarda, i spuszczone długie końce W miejsce astrów można na girlandkę użyć drobnych różyczek, stokroci, jaskru, habru lub t. p. a riuszę podłożoną ze wstążki zastąpić riuszą z tiulu albo koronki.

N. 12. Stanik gorsecikowy.

Forma na arkuszu z krojami do N. 22 i 23 Tygodnika. Opis i rysunek przodu stanika ryc. 22 w N. 22 Tygodnika.

N. 13. Stanik gorsecikowy z bretelkami.

Przód do ryciny 28 w N. 25. Tyg. Mód.

N. 14—15. Vêtement z pelerynką.

Krój na arkuszu dodatkowym do N. 18—19 Tygodnika Mód.

Ryc. 14 przedstawia z przodu vêtement przykrojone podług formy do ryc. 32 w N. 19 Tygodnika. Ryc. 15 podaje z tyłu pelerynkę i vêtement albo raczéj tiunikę odcinaną w pasie. Peleryna z marynarskim kołnierzem ma 107 cent. dolnego obwodu; z przodu 41 a z tyłu 54 cent. długości, z któréj 34 cent. rozcina się od dołu. Kołnierz ma z tyłu 17 cent. długości, 30 cent. szerokości, a w ząb wycięty ranwers z przodu, jest 22 cent. długi. Przy vêtement z materji wełnianéj w pasy czarne i białe dane są plisy jednokolorowe z wypustką czarną i frendzla wełniana w dwóch kolorach. Na rycienie 15 podajemy vêtement w jednym kolorze popielatym lub jasno brązowym, przyozdobione bogatym szlakiem, wyszytym sznurem lub sutaszem ciemniejszym i frendzlą. W miejsce téj ostatniéj dać można gipiurową koronkę, tego samego jak vêtement koloru. Do peleryny z tyłu, przy wykroju szyi, można przypiąć kokardę z długiemi końcami, ze wstążki rypsowéj.

N. 16. Parasolik haftowany

z rączką ze słoniowéj kości.

Deseń haftu ryc. 22 w N. 25 Tygodnika.

Parasolik pokryty jest materją z surowego jedwabiu, koloru jasno niewarowego, z podszewką z białego fularu. Laseczka drewniana tego co pokrycie koloru, zakończona jest rączką ze słoniowéj kości. Rzucik odrabia się ściegiem luźnym przewłóczonym, a szlaczek ściegami wskazanemi na deseniku, bawełną lub jedwabiem białym. Ząbki falbany 9 cent. szerokiéj są odziergane.

N. 17—18. Mały parasolik

składany, przyozdobiony kolorowym haftem lub malowaniem.

Ryc. 18 przedstawia otwarty i na bok złożony parasolik, pokryty materją czarną z haftowanemi bukietami, na które deseń podamy w N. 25 Tygodnika. Kwiaty robią się trzema cieniami peli pąsowéj lub różowéj, liście do cieniu zielone, gałązki orzechowe, a kielichy kwiatów żółte i białe. Kto włada pędzlem może bardzo ładnie ozdobić parasolik malowanemi bukietami lub girlandami, obecnie bowiem malowanie i haft, równie są modne na parasoliki. Składana laseczka jest drewniana pokryta skórą juchtową, podszewka jedwabna wiśniowa, odpowiednia do koloru skóry pokrywającéj laseczkę.

N. 19. Vetement z paskiem i karoczkiem.

Do sukni gładkiéj ciemno popielatéj, nie powłóczystéj, i takiego samego vêtement, na plisy stanowiące garnirunek, na wyłogi do rękawów, marynarski kołnierz i karoczek, dobiera się materjału w paski popielate i białe. Dwa cent. szeroka frendzla wełniana, popielata do cieniu, dopełnia przystrojenie. Plisy przy spódnicy mają 7 przy vêtement 5 a przy karoczku $3\frac{1}{2}$ cent. szerokości. Dane one są na sztywnej podszewce i do spódnicy przyszywają się tylko od góry. Marynarski kołnierz ma przy prostym brzegu z tyłu 21 cent. szerokości, w środku 12, na ramionach 9, a przy skośnym przednim brzegu 13 cent. długości. Wyłogi przyszyte do zwierzchnich części rękawów, mają w węższym końcu przy szwie 9, a przy szerszym skośnie ściętym 17 cent. szerokości. Kokardę przy karoczku układa się z materjału gładkiego i w prążki.

N. 20. Suknia gładka

i vêtement w wązkie prążki.

Rysunek, z przodu i opis w N. 25 Tygodnika Mód ryc. 32.

N. 21 Suknia z letniego

gładkiego materjału z vêtement w szerokie pasy.

Suknia z batystu écru, oszyta jest dwoma skośnemi wolantami, w które u dołu wszywa się biała koronkowa wstawka 2 cent. szeroka, a brzegiem przyszywa gładka koroneczka, téj co wstawka szerokości. Nagłówek stanowią riusze 5 cent. szerokie, wąziutką koroneczką oszyte, i w podwójne kontrafałdy układane. Vêtement z batystu w szerokie białe lub szare prążkowane pasy, oszyte jest prążkowaną, skośną, falbaną, z nagłówkiem i riuszy gładkiéj. Vêtement z tyłu w górze podpięte, przy wcięciu pasa założone w dwie głębokie, do spodu dane fałdy, które z wierzchu przykryte są rozetami, wstawką i koronką oszytemi. Do nich u dołu dodane są końce 6 cent. szerokie 8 cent. długie, także koronką ozdobione.

N. 22. Vetement z fularu

rokoko, na sukni gładkiéj.

Do lekiéj wełnianéj sukni koloru bordo, oszytéj 20 c. szerokiem plisowaniem, zachodzi brzeg spódnicy w zęby odzierganéj, i przyozdobionéj arabeskowym szlakiem, wyszytym ciemniejszym sznureczkiem jedwabnym. Dodane vêtement jest z fularu jedwabnego rokoko, w kwiatki różno-kolorowe na tle jasno popielatem, garnirowane skośnym wolantem i w podwójne kontrafałdy układaną riuszą.

Oszycie wolantu stanowią ząbki, układane z podwójnie do środka złożonego i przemarszczonego fularu.

N. 23. Suknia z tiuniką

i kamizelkowym kaftaniczkiem.

Wszelkie letnie materjały jak fular, bast jedwabnye batyst, muślinek lub perkal, mogą być całkiem gładki, i jednostajne, albo dobierane gładkie i rokoko, to jest w rzucik różno kolorowy, z którego całe vêtement albo tiunikę lub tylko garnirunek dać można. Na rycinie 23 suknia w rzucik zakończona jest 22 cent. szeroką, plisowaną falbaną z gładkiego materjału. Nad plisowaniem dana skośna marszczona falbana w rzucik 6 cent. szeroka i gładka 8 cent. zakończona nagłówkiem.

Na wypustki do falban i kamizeleczkę, dobiera się materję w odpowiednim kolorze. Przy gładkiéj tiunice i kaftaniczku falbany w rzucik, przeszyte są gładkiemi pliskami.

Przy kapeluszu z cienkiéj brukselskiéj słomy, upięta wstążka w dwóch cieniach, róża herbaciana i czarny woalik z koronkowego tiulu.

N. 24. Suknia jedwabna

i vêtement z tiulu albo muślinu.

Kolorową powłóczystą suknię z wyciętym stanikiem i krótkiemi rękawami, pokrywa długie vêtement z cienkiego muślinu, przykrojone podług formy spódnicy do sukni, podpięte z boków i garnirowane plisowaniem 7 c. szerokiem. Przy bluzce pod szyję, szerokie rękawy zakończone są plisowaniem.

Pasek i szarfa z szerokiéj wstążki w poprzeczne kolorowe pasy.

O ubiorach.

Daliśmy już naszym czytelniczkom opisy używanych w tym sezonie letnich kostiumów, lecz kostiumy, te były to prawie wszystkie, wykończone zagranicą a zatem tak zwane modele, które następnie naśladowane zostały z materjałów na miejscu wybranych.

Ubrania takie mogą być i tańsze i podług gustu wykonane, zależy to zupełnie od materjału z jakiego one mają być zrobione.

W magazynie p. Penkali widzieliśmy mnóstwo materjałów zupełnie nowych, zastosowanych do dzisiejszego sposobu wykonania sukien. Naprzykład „Batiste Ecrue“ szerokie na 1 łok. $\frac{1}{4}$ w cenie od kop. 50, takiż sam materjał tylko w pasy satiné kop. 65. Pasy takie bywają w różnych kolorach.

Następnie „Foulard de laine“ we wszystkich kolorach, między któremi prześliczny kolor niebieski, szeroki na $1\frac{1}{4}$ łok. po kop. 55. „Bisantine“ we wszystkich kolorach szerokie na 2 łok. po rs. 1 kop. 20, takież bisantine gładkie we wszystkich kolorach po kop. 85. „Poil de chèvre“ w różnych kolorach w pasy podłużne atłasowe, cena za łokieć rs. 1 k. 15. Suknia zrobiona z tego materjału należy do strojniejszych. „Taffetas d'Italie“ w różnych kolorach. Materjał ten przeznaczony na kostiumy praktyczne. Podobny do poprzedniego „Taffetas de l'Inde czysto wełniany ma 2 łokcie szerokości. Grossower we wszystkich kolorach w paski poprzeczne, szerokość 5 ćwierci po rs. 1 za łokieć. Jako letni zupełnie materjał bardzo są używane bareże grenadine w kolorach: dzikim, popielatym, szarym, niebieskim, fijołkowym, różowym i brązowym. Cena od kop. 65. Takiż sam w podłużne pasy repsowe na vetêment po rs. 1 k. 25 za łokieć. Sztuczka bareżu „canevas“ w różnych kolorach na całe suknie kosztuje rs. 50.

„Gaze satinée“ w rodzaju bareżu grenadine, na tle białem w pasy atłasowe kolorowe, na sukienki dla panienek nie drogie a efektowne po kop. 55. Suknie zwane „Elvire“ zawierają część materjału gładkiego, a część w dyspozycje, które według woli umieszcza się to płasko na spódnicy niby plisy, to na wolanty. Sztuczka na suknię rs. 25.

„Grenadine de laine“ w pasy podłużne koloru Ecru szerokie na półtora łokcia, cena rs. 1.



N. 19. Ubranie z vêtement i karoczkiem.



N. 20. Suknia z gładkiego materjału i vêtement z materjału w paski. Patrz przód ryc. 32 w N. 25 T. Mód.

Zapewniono nas iż materjał ten pierze się doskonale. „Chali 2 i pół łokcia szerokie w pasy atłasowe poprzeczne na których mieszczą się rzuty „pompadour“ cena rs. 2 k. 70. „Barége grenadine w pasy rypsowe różnej szerokości począwszy od kop. 90 Materjał ten służy tylko na vêtement. Podobny do tego materjał w pasy białe matowe kop. 85. „Fongére“ na tle supełkowatym, w pasy jedwabne poprzeczne na których wyhaftowano bukiety. Materjał ten szeroki na 2 i pół łokcia kosztuje rs. 2 kop: 70. Gatunek ten powtórzony w kilku kolorach jak écru, czarnym, niebieskim, gris-perle i białym, służy jak i poprzednie jedynie na vêtement. Tak zwane vetêment. „Tunique guipure en China grassa“ ma wrobioną gipiurę zakończoną frendzlą. Jest to piękna całość i zupełna nowość. Wreszcie grenadina w pasy jedwabne poprzeczne, w kolorach: bialym i czarnym szerokie na 2 łok. Cena rs. 2, na vêtement do kolorowych spódnic.

Oprócz fularów chińskich (czu-szun cza) magazyn pana Penkali otrzymał transport fularów francuzkich écru szerokości 1 i pół. Cena rs. 1 k. 65 i rs. 2 kop. 50, oraz dobór fularów kolorowych Pompadour. Suknie fularowe uważamy zawsze za najpraktyczniejsze, gdyż w porze letniéj stanowią odzież zupełnie chłodną, noszącą się doskonale i przytem fular ma to do siebe że się doskonale pierze, i zawsze elegancko wygląda.

Niepodobna wyliczyć całego doboru nagromadzonych materjałów, musimy tylko nadmienić, iż pan Penkala uwzględniając trudności wyboru z prostego opisu, przygotował znakomitą część próbek, które na listowne żądanie wysyła. Jest to wielka dogodnosć dla osób, mieszkających po za obrębem Warszawy.

(d. n.)



N. 21. Ubranie z bawełnianego bareżu, Suknia gładka, vêtement z materjału w szerokie pasy.

N. 22. Suknia z gładkiéj materji, vêtement z fularu rokoko.



N. 23. Ubranie z tuniką i kamizelkowym kaftanikiem.

N. 24. Ubranie z vêtement z tiulu albo muślinu.